

Wszystkim Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciółom
serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne składa

REDAKCJA

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 20-27 grudnia 1953 r.

Nr 51-52 (437-438)

MONIKA WARNEŃSKA

ŚWIATŁA WIELKIEJ PRZYJAŹNI



S kądkolwiek dążyć ku Warszawie — czy od wschodu, z ziem, położonych na prawym brzegu Wisły, czy z południa, z zachodnich stron — widzisz, jak wychodzi naprzeciw twym oczom: wysoki, piękny, co dnia wyższy i wspanialszy.

To warszawski Pałac Nauk i Kultury.

Budowla jedyna w swoim rodzaju, gmach, jakiego u nas jeszcze dotąd nie było i być nie mogło. Każdy z nas, gdziekolwiek żyjemy i mieszkamy — widzi rozmach wielkiej budowy, nowe fabryki, nowe kombinaty — jedna z nazw, których nie znaliśmy przed wojną, a które dziś zdążyły sobie u nas zyskać pełne prawo obywatelstwa. Widzimy jak powstają nowe szkoły i szpitale, żłobki i domy kultury. Rosną w naszych oczach pierwsze socjalistyczne miasta. Ale nigdzie jeszcze dotychczas nie wyrósł tak potężny gmach — wysokościowiec, jaki wznosi się w Warszawie. I bliski nam on jest już teraz, choć daleko jeszcze do kresu budowy — i co dzień, mijając go, długo niesiemy jego obraz pod powieką i z dumą odpowiadamy na pytania ludzimi, którzy w odległych krańcach Polski pytają nas: „Jak tam nasz Pałac? Rośnie?” Mówimy: — nasz Pałac. Oni — z Krakowa, czy Gdańska, ze Szczecina, Lublina, czy Rzeszowa mówią także: — „nasz Pałac”, choć może go jeszcze nawet nie widzieli.

Rankiem przez tor kolejowy, od wschodu ku Warszawie pędzą towarowe pociągi, dźwigające na platformach części stalowych konstrukcji, mechanizmy, pakiety skrzyni. Inne podobne pociągi suną ku Nowej Hucie, ku Wierzbicy, ku okolicom naszego kraju, gdzie rosną wielkie zakłady przemysłowe, potocznie zwane budowlami sześciolatkami, budowlami socjalizmu. Dawniej, mówiąc o tych budowliach, jednym tchem wymienialiśmy Nową Hutę i Gorzów, Jaworzno i Wierzbicę, Kędzierzyn, Dwory i Zerań. Od roku doręczamy do tych nazw i do innych nazw nową, nowe pojęcie do głębi nasycone bogatą treścią: Pałac Nauk i Kultury.

Jest w tym zestawieniu piękna symbolika. W Jaworznie, Wierzbicy, Dworach rosną olbrzymie zakłady przemysłowe, a Pałac — to budowla, która służyć będzie nauce, sztuce, kulturze. Czyli tym dziedzinom życia, które w ustroju socjalistycznym oczekuje najwspanialszy rozkwit.

Historia Pałacu rozpoczyna się od owego dnia, w którym rząd radziecki, widząc ogrom zapалу budowniczych Warszawy i ofiarną pracę narodu, który wielkim wspólnym wysiłkiem dźwiga z gruzów stolicę piękniej niż kiedykolwiek — zgłosił gotowość wybudowania własnym kosztem i własnymi środkami dla Warszawy gmachu podobnego do wysokościowców, które stanowią wielkie osiągnięcie radzieckiej architektury i techniki,

związkowej Akademii Architektury, L. W. Rudniewa i członków-korespondentów tej Akademii: A. P. Wielikanowa, I. E. Rożyna, A. F. Chriakowa, W. N. Nasonowa. Z wielką armią budowniczych, którzy pracę projektantów przenoszą w rzeczywistość, spotykamy się na potężnym placu budowy.

II

Przechodnie, którzy z okolicznych ulic, z okien domów, z peronów dworca Śródmiejskiego widzą budowę Pałacu, dziwią się często, że przebiega ona w takiej ciszy. — Jaki to był zgłęb i reżwach na MDM-ie, kiedy powstawał Plac Konstytucji — wspominają niekiedy. — Albo na Starówce... A tutaj tak cicho... Owszem, cicho ale w tej „ciszy” potężny gmach pnie się ku górze piętro za piętro, wznosi i wszerz, wzbogaca i staje coraz piękniejszy. Tę pozorną „ciszę” łatwo zrozumieć, gdy się choćby pobieżnie rzuci okiem na plac budowy. Łatwo dostrzec, że ogromna, przeważającą część pracy wykonują tutaj zamiast człowieka — maszyny. Iluż rąk potrzeba byłoby, aby zastąpić wielkie betoniarki, potężne dźwigi, koparki mechaniczne, jak piórkonoszące olbrzymie ciężary — dźwigi, których sylwetki zrosły się mocno z krajobrazem warszawskiego nieba. Mechanizacja budownictwa!... Nigdzie chyba dotychczas, na żadnej z wielkich budowli Paryża, Wiednia, Dreżna czy Moskwy. Projektowany wysokościowiec musi tworzyć piękną harmonijną całość z panoramą „zgruzowstalej” — jak rzecze poeta — socjalistycznej Warszawy, architektura jego powinna odzwierciedlać narodowe pierwiastki polskiego budownictwa.

W dobrych oczach, szerokich rysach, w dobronumym uśmiechu radzieckiego chłopca lub dziewczyny — bo przezwania młodzi pracują tutaj — odczytają bez trudu znamie odległego świata: Kazachstan, Uzbekistan, Kaukaz, Nadwołża, Moskwa... I odczuwają się wówczas cieniem dawnego wrzucenia, z jakim niegdyś, wśród głuchych ruin Warszawy, na ulicach Łodzi, pod sklepieniem szarego zagłębiowskiego nieba, na wiejskich polnych drogach — witaliśmy ich, takich samych ludzi, tą samą przemawiającą mową. Niejednego spośród tych, którzy nam wówczas niesli wolność, odnajdziemy tutaj. Niosą oni nam dziś to samo, co narodzone w latach przeszłych, krzepnie coraz mocniej z każdym rokiem — przyjaźń.

III

Idziemy przez gwary plac, który z bliska wcale nie jest cichy i spokojny, jak sądzą ci, którzy spoglądają nań z Marszałkowskiej lub z Alej Jerozolimskiej. Oto dźwięk, którego „no” wielometrowej wysokości wspierają się mocno o żelazne szyny, oto zżwawe auta osobowego kształtu, zwane „awtopogrużyczkami”, które rozwiozą bloki cegieł do „rak” dźwigów. Cegły przybywają z Jelonek, gdzie mieści się „zaplecze” budowy Pałacu — potężna baza. Przewożone są i dostawiane na odpowiednie miejsca przy pomocy kranów i dźwigów.

Cyfrę, cyfrę, cyfrę... Maci się od nich w głowie nawet kmuś, kto widział już niejedną wielką budowę i przywykł do rozmachu. Tutaj te cyfry tym różnią się od innych, które oznaczają kubaturę nowych izb mieszkalnych, lub ilość ton surowicy, jaka popłynęła z nowych pieców hutniczych — że większość ich zdaje się pisać w górę. Mówią one o 220 metrach wysokości, na którą wystrzelił pałac, o mnożstwie wiatrzych i szybkościowych, które pozwolą w minutach przebywać wielopiętrowe odległości, sunąć wżwyc cichym, bezszelestnym biegiem; o łącznej kubaturze 800 tysięcy metrów sześciennych i powierzchni użytkowej 66.600 metrów kwadratowych. „Powierzchnia użytkowa”, przetłumaczona na codzienny, „użytkowy” język — to właśnie kina, sale odczytowe, audytorium, hala sportowa...

Budowniczych Pałacu, kiedy mówią o jego sprawach, cechuje ten sam rys, który dostrzec można u ludzi Nowej Huty lub Wierzbicy, a który —

jak wiemy — posiadali również budowniczy Kuzniecka, Dnieprogręski czy Komsomolska: mówią oni o rzeczach stałych, jak gdyby istniały wykończone i piękne w swym ostatecznym, zachwycającym kształcie. Tak było od początku, kiedy pierwsze maszyny ruszyły do ataku na dzisiejszy plac budowy — i tak jest dziś, kiedy ta budowa szybkim krokiem posuwa się naprzód.

„Eee, ci technicy pracują nisko — na dwunastym piętrze — słyszymy. — Nie zmęczycie się. — Skąd wracacie? — Z dwudziestego piątego? My byliśmy wyżej — powiada ktoś z pracowników, szybko nas wymijając.

In wyżej — tym silniej i mocniej dnie wichur, któremu przeciwstawia się budowla — i tym dalej widać. Prudentia! — „ich” — to znaczy angielskich kapitalistów i tych, którzy ulokowali się w jego najwyższej,

(Dokończenie na str. 5)

EDWARD BERSTEIN

KRONIKA WIEJSKA

Wywalczyliśmy prawo do chleba i pracy —

Naród z czworaków wstąpił w podwoje pałacy.

Trzeciej wiosny na pola traktor nam zawitał,
Na leśnych drogach czyhał najemny bandyta.

Deszcz rozmył koleiny, przeszła trzecia wiosna
I niepewnością gruda chłopskich serc zarosła.

Gdy własność ryje w ziemi — ziemia rodzi chwasty;
Spór o miedze w powietrzu echem strzału zastygł.

Przyjeżdżaliśmy do was — trójki skupu zboża,
Wróg wrota zatraskiwał. Towarzysz otworzył.

Plug przeorywał miedze, na których kwitł szalej,
Aby moje i twoje — w nasze, wspólne scalił.

Kulačka plotka w serca wsączała się jadem —
„Pójdą z torbami żebrać kolchozowe dziady”.

Zanim wstąpisz — sumienia pytaj — nie sąsiada.
Wstąpił. I o jednego urosła gromada.

Nic nie przychodzi łatwo. Jeszcze walka czeka —
W trudzie zdobywać trzeba każdego człowieka.

KAZIMIERZ DĘBNICKI

SPRAWA HONORU

Co to jest właściwie honor? Honor — to jest specyficzny cech charakteru „szlachetnie urodzonych”, ryceństwa, posiadaczy wielkich obszarów ziemskich — ówczesnych władców świata.

Przyszły inne czasy. Burżuazja złamała władzę wielkich feudałów, zaczęły padać trony, opierające się na feudalnym ustroju, zaczęły też jednak rozkwitać monarchie, opierające swą władzę na kapitale, na burżuazyjnym porządku społecznym.

I oto powstało nowe pojęcie „honoru”, jako cechy charakteru bogacza. „Honorowym” stał się fabrykant i bankier, kupiec i gieldziarz. Ale „honoru” odmawiano robotnikom i chłopom.

Kiedy nad Piotrogrodzkim Pałacem Zimowym i nad murami Kremla zacerwieńiły się w r. 1917 sztandary zwycięskiej rewolucji — na jednej szóstej kuli ziemskiej, pojęcie honoru odzyskało pełnię swego piękna. „Szlachetnie urodzeni”, magnateria i burżuazja straciła monopol na władzę, na dobrobyt i na honor. Władzę wyjąca, i wyłączone prawo do honoru otrzymał prosty lud: robotnicy i chłopci. I nadal mu na przestrzeniach od Baltyku do Oceanu Spokojnego nowe znaczenie, wzbobacił, ożcił nowymi treściami. Kraj nędzy, bezprawia, zginił kraj burżuazyjny — stał się krajem potężnego przemysłu, nowoczesnego rolnictwa, wielkiej nauki i rozkwitającej sztuki. Stał się taki dzieki ofiarnemu wysiłkowi, ciężkiemu trudowi, dzięki wysokiemu poczuciu honoru mas ludowych, prowadzonych przez komunistyczną partię.

Nie jest łatwo budować potęgę w kraju, którego szlachta i burżuazja zrobiły wszystko, by był słaby, zepchnięty na dno gospodarczego i kulturalnego upadku. Nie jest łatwo w takim kraju budować fabryki, ulepszać rolnictwo. Nie jest łatwo w takim kraju tworzyć nowego, lepszego, mądrego człowieka, przekształcać jego duszę, bogactwa i rozum. Łatwiej z ruin podnieść, niż z ruin podnieść człowieka. Polska burżuazja zrobiła wszystko, by nasze domy leżały w ruinach i by serca ludzkie stały się wypaloną, zwęgloną ruiną.

A przecież właściciele „honoru” zamkniętego w kuferek wywiezionych na emigrację — nie dali rady. Nie dali rady honorowi Ludu. Spłoszeni facyci, którym rewolucja podcięła spekulackie skrzydła, zszepiali: — Wyuródcą się, zobaczycie; nie odbudują, nie uruchomią kopalni hut, nie puszczą w ruch transportu. To było w 1945 roku. Pomylili się. Odbudowali, uruchomili, puścili w ruch, daliśmy chłopom ziemię, daliśmy całemu ludowi władzę i prawa, otworzyliśmy potężny nurt honoru pracy. Ten nurt porwał masę, przekreślił spo-

szone, strachliwe plotki. Dał Ojczyźnie potęgę, przypłacił jej chwałę i wywyższył z gospodarczego poniżenia na jedno ze szczytowych miejsc w europejskich statystykach.

Ten potężny nurt ponosił na wieś i do izb robotniczych książki i gazetę, radio i podręcznik naukowy.

Przypomnijmy sobie: jeszcze niedawno nie mieliśmy domów kultury, świetlic, kin wiejskich, bibliotek i szkół. Walka cichych pokoleń szła m. in. o to, by te zjawiska stały się rzeczywistością chińskiego życia.

Pomyślmy o co dziś idzie walka: o to, by lepiej pracowały liczne domy kultury, świetlice, kina wiejskie, biblioteki i by lepiej uczono w tysiącach szkół.

Oto ogromny, historyczny skok z którego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Skok ponad całą epokę zacofania! W kulturze i w gospodarce.

Pisał zmarły niedawno poeta Galczyński: — Wojna niepotrzebna poetce ani murarzowi, robotnicy budować z sensem budują: jeden — wiersze wesole, — drugi — teatr lub szkołę albo zwyczajny dom z oknem na świat.

My wszyscy — chłopci, robotnicy, inteligenci — budujemy i chcemy budować z sensem. I w tym jest nasza siła, to jest sprawa naszego honoru. Budujemy z sensem — bo przeciw wojnie, bo dla pokoju — „dom z oknem na świat”.

IX Plenum KC PZPR pokazało w pozornie suchych tezach, w zimnych z pozoru cyfrach to właśnie, co nazywamy sensem naszej budowy i w czym upatrujemy honor naszej pracy. IX Plenum pokazało jasno, że trzeba było najpierw wybudować zakłady Wielkiej Chemicznej Syntezy, żeby móc wzbogacić wieś w nawozy i że z drugiej strony trzeba, koniecznie trzeba, by ze wsi szło do miast i mięso i chleb, i masło, i surowiec przemysłowy — jeżeli robotnicy w fabrykach mają szybciej i lepiej produkować artykuły potrzebne chłopom. IX Plenum pokazało, że trzeba było najpierw fabryki, maszyn i sprzętu technicznego, by przemysł mógł w pełni rozwijać wszystkie rodzaje produkcji, ale też pokazało, że bez ofiarnego wysiłku wsi — robotnicy w miastach nie będą mogli zaopatrzyć braci — chłopów we wszystko, czego pragną. IX Plenum uwiidocznio wszystkim wreszcie, że tylko zespolony wysiłek wsi i miasta daje w rezultacie potęgę obronna, chroniącą Polskę Ludową przed zamachami wrogów. IX Plenum wskazało, że sprawy potęgi przemysłowej i potęgi obronnej są nierozdzielnie związane z coraz bujniejszym wzrostem kultury, oświaty i nauki narodowej, że mó-

więc słowami Jerzego Putramenta z dyskusji na Plenum —

„Musimy stworzyć takie warunki materialne i moralne, w których twórcy mogliby z siebie dać to, co mogą najlepszego”.

IX Plenum pokazało osiągnięcia i wytyczyło drogę dalszego, szybszego, wspartego o wyraźniejszy i pręższy wzrost dobrobytu mas, rozwoju gospodarki narodowej i narodowej kultury.

Eyłoby szkodliwe twierdzić, że droga nakreślona przez Plenum jest prosta i łatwa. Wiemy, jak ciężko, w jakiej walce zdobywaliśmy każdy metr nowego muru, każdą nową halę fabryczną, każdą salę teatralną czy kinową, każdy wyrwany ugorom hektar ziemi pod uprawę. Musieliśmy pokonywać żniśczenia i zacofanie, braki materialne i braki moralne, musieliśmy pokonywać to, co „stare” w produkcji i to co „stare” w nas samych. A spojrzcie na cyfry osiągnięć zbilansowane na IX Plenum, w jego Tezach — zobaczycie, co zrobiliśmy. Zobaczycie, że Tezy i cyfry — to żywe ciało i krew.

Czeka nas nowy trud, czekają nowe niełatwe zadania w jakże jednak odmiennych warunkach, w jakże zmiennej sytuacji! Już nie musimy budować podstaw potęgi przemysłowej od nowa, z niczego. Już na istniejących i podlegających stalemu, równomiernemu rozwojowi podstawach budujemy, musimy zbudować nowoczesniejsze, wydajniejsze rolnictwo, by zapewnić robotnikom, chłopom i inteligencjom stołom nie tylko chleb ale i mięso, by przemysłowi zapewnić surowiec dla naszych, własnych, codziennych, a stale rosnących potrzeb.

Upraszczać: tworzyliśmy fundamenty naszego dobrobytu i ochronę naszego dobrobytu, mamy stworzyć piętro po piętrze, nie z nagła, ale sumiennie, z sensem — dobrobyt, wielkie źródło narodowej siły.

Oto sprawy naszego honoru, nie abstrakcyjnego, nie pysznego akşamitami karmazynów i złotego od bankierskich zysków, ale honoru budowniczych własnego szczęścia. Tęgo samego, o którym, nie nazywając go po imieniu, prostymi, robotniczymi słowami pisał Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych Lenin do ludności wiejskiej, w listopadzie 1917 roku.

„Robotnicy w zupełności, całkowicie i ze uszczelnianą podtrzymują chłopów i dbać będą o produkcję i stan maszyn i narzędzi, ze swojej zaś strony proszą chłopów o pomoc, okazaną przez do-wóz chleba”.

W innej sytuacji, w innym okresie i w innych już całkowicie wymiarach sprawą głębokiego sensu naszych czasów, sprawą serca i rozumu, sprawą honoru robotników i chłopów — jest ich wspólna walka, wspólna praca, wzajemna serdeczna pomoc.

LESZEK MECH

PAŁAC KULTURY I NAUKI

Kiedyś dzieje łączyły narody
Dat wachlarzem na lunach rozpiętym,
Albo w sercach pokoju spragnionych
Budził miłość anemiczny święty.

Dziś nie dzieje, nie skrzydlaci święci,
Miecz rdzewieje... Dziś lud ludowi
Dumnie wznosi w mieście uśmiechniętym
Wywalczonej przyjaźni budowę.

* TEZY * PRZEDZIAJZDOWE Pokój twórczy

W powodzi książek, gazet i komunikatów, zalegających dziś biurko redakcyjne, dwie tylko pozycje dotyczą Niemiec. Jedną z nich jest krótki komunikat o wizycie w Polsce delegacji chłopów niemieckich — członków w/w centralnych organizacji chłopskiej w NRD. Druga — spora, prawie dwustopniowa książka z okładką, przedstawiająca średniowiecznego rycerza w pełnym uzbrojeniu. Tytuł uzupełniająco informuje, że jest to „Der Deutsche Soldat — Kalender“ — „Niemiecki Kalendarz Żołnierski“ na rok 1954.

Nie jest to pierwsze tego rodzaju wydawnictwo w Niemczech zachodnich. Choć nie minęło jeszcze pierwsze dziesięciolecie od kolejnej klęski militarystyki pruskiej, w zachodnich strefach okupacyjnych nie ma dnia, by propaganda odwetu i rewizjonizmu nie została zasłona nową książką, artykułem czy bodaj przemówieniem różnych dawnych lub obecnych dostojników i działaczy neo- czy staro hitlerowskich. „Kalendarz“ więc nie stanowi czegoś wyjątkowego w produkcji wydawniczej Niemiec zachodnich. Wyróżnia się w niej jedynie „starymieszczyznym“ doborem autorów i większym niż dotychczas skoncentrowaniem nawiązań do wszystkich, co żywe, twórcze, pokojowe. Bo też kogo nie brak w tym almanachu zbrodniarzy: obok twórcy militarystyki pruskiej, Fryderyka II, burzyciel Warszawy i morderca włóczęk zakładników — feldmarszałek Kesselring, cudem (amerykańskim) uratowany od stryczki, w otoczeniu podobnych mu katów i czego tu nie brak — od szandarów nieludzkich wodza krzyżackiego spod Grunwaldu — Ulricha von Jungingen, do reżymnych wspomnień ss-owskich. Ale najwięcej — uznania i gorących słów zachęty dla moutonowej przez USA tzw. armii europejskiej, mającej dokonać tego, czego się nie powiodło autorom „Kalendarza“. Nie dziw więc, że w wydawnictwie tym zarezerwowano miejsce również i dla Polski. Faszystki z Niemiec zachodnich mogą nad nim podumać o „bohaterskiej“ walce z „bandytami“, to jest z walczącą ludnością Warszawy, a czytając o polskich oddziałach podziemnych, żałować wraz z autorem „iż najłepiej byłoby bombami rozwalić tych ludzi“.

Znamy ten język Język, który wyrażał odwieczne marzenia junkrów i kapitalistów. Tworzone uparczywie i gorączkowo w latach pokoju — plany wojny.

Dość, po raz pierwszy od dziesiątek i setek lat spokojnie słuchamy dołującego do nas z zachodu dzikiego ujadania. Prosto i dumnie odpowiadają mu Tezy IX Plenum: „Polska przestała być krajem zafocymym, obiektem eksploatacji ze strony kapitalu zagranicznego, surowcowo — rolniczego zapleczem gospodarki państwa imperialistycznej“. I dalej mówią o wielkich osiągnięciach w dziedzinie rozwoju przemysłu obronnego, stanowiącego tarczę ochronną naszej codziennej, twórczej, pokojowej pracy.

Tak, to jest jedno źródło naszego spokoju. Ale mamy i inne. Wśród nich fakt, że te ujadania mają dziś do nas dłuższą i trudniejszą drogę. Bo po raz pierwszy w historii militarystom i rozbójnikom, stykającym się do nowych podbojów na Wschodzie, stanęło w przeszkodzie inne od dawnych — państwo niemieckie: państwo ludzi pracy — robotników i chłopów. Oni to przegrali z tej części Niemiec obszarów i wielkich kapitalistów — i cierpliwie wypełniają ducha wojny, pogardy i nienawiści. To tu po raz pierwszy w Niemczech, dzieci ucą się prawdziwej historii naszego narodu, poznają jego pracę i walkę o wspólne, najważniejsze dla wszystkich ludzi na świecie rzeczy — o chleb i pokój. Uczą się tym chętniej, że i u nich w Niemieckiej Republice Demokratycznej naród prowadzi walkę o to samo. I że razem, Związek Radziecki, Polska, NRD i inne kraje demokracji ludowej, stanowią — jak to podkreślają Tezy — rosnący w siłę oboz socjalizmu i pokoju.

Pokój! Wielkie słowo. A ileż może znaczyć! W roku 1939 też mówią o pokoju. Tylko trudno było weni wierzyć, gdy przez zachodnią granicę bezustannie napływali do Polski szpiecy i dywersanci; gdy jedyną naszą wymianą z Niemcami była wymiana polskich informacji politycznych i wojskowych — za prawo do eksploatowania setek tysięcy polskich chłopów „na Saksach“, za wzbogacanie niemieckiego potencjału zbrojeniowego polską pracą i polskimi towarami, gdy pokój stanowił tylko zacierpienie oddechu do nowego napadu.

W ciągu szeregu dni zwiadała Polskę wycieczka działaczy niemieckiego ruchu chłopskiego. Przyjechali do nas, aby zobaczyć i porównać ze swoimi nasze zdobycze w dziedzinie rolnictwa, nasze urządzenia samopomocowe i instytucje kulturalno-oswiatowe. Wymienić z nami osiągnięcia w zaspokajaniu potrzeb i podwyższaniu stopy życiowej ludzi pracy. Bo u podstaw ustroju obu naszych krajów stoi przeciw — człowiek!

Dlatego naszym obu narodom, zajętem budową nowego życia, potrzebny jest pokój. I dlatego nasza granica zachodnia przestała być granicą zawieszona broni, a stała się granicą pokoju. Pokoju twórczego — pokoju budowniczych.

ROBERT LEMOQUE

AMELIA CHCE BYĆ TAKŻE CZŁOWIEKIEM

Capetown, Południowa Afryka — w grudniu

Nie późna jesień — jak w Europie — ale trwa tu teraz wiosna. Wokół szosy, którą jedziemy, spalony skońcem step zielenieje nieśmiało. Te samą barwę przyjmują gąsienice — nim znów nie zżółkną. Przeglądam się ciekawie — przybysz z chłodnej Europy, zwiadzający ten południowy skraj „Czarnego Kontynentu“, Unię Południowo-Afrykańską, kraj faszysty — premiera Malana.

Zatrzymujemy się przed grupą: jak je nazwać — baraków? — choć i ta nazwa przesadzona na korzyść. Budy, tak, blaszane brudne budy, skłcone z pogiętych zbiorników benzynowych, części starych karoserii samochodowych wyszluzony i podziurawiony jak sito cystern. Łatwo sobie wyobrazić gorąco w ich wnętrzu, gdy słońce lejące zar z nieba rozgrzewa blachę jak piec.

Tu mieszkają tubylcy — „kolorowi“ ciemnoskórzy mieszkańcy Unii. Ślad dzień w dzień część tych ludzi udaje się do odległego o kilkanaście kilometrów Capetown do pracy w fabrykach i porcie, część zas podąza do okolicznych farm) białych kolonistów.

W Unii Południowo-Afrykańskiej 10 milionów prawdziwych Afrykańczyków — Murzynów i Hindusów, zamieszkałych tam od bardzo dawna nie ma żadnych — lub prawie żadnych praw. Prawo wyborcze do parlamentu, prawo pełnienia funkcji sądowych i administracyjnych, zajmowanie stanowisk wykwalifikowanych pracowników, wreszcie posiadanie ziemi na własność — przysługują jedynie białym, których jest tutaj nie więcej jak 2 miliony, a więc 20 proc. ogółu ludności.

Faszystowska Partia Nationalistyczna, sprawująca rządy, dąży do wprowadzenia coraz ostrzejszego podziału między białymi „Afrykanderami“ i kolorowymi — Afrykańczykami (których nazywa się pogardliwie „Keffirs“, „Coolies“, „Hottentots“). Podziału opartego na stałe rosnącej dyskryminacji tych ostatnich. W ten sposób premier rządu dr Malan i jego kompani z faszystowskiej partii drogą zwiększania nienawiści rasowej dążą do rozbicia wszelkiej jedności białych i miejscowych robotników. Bowiem ta właśnie jedność robotników, jedność mas ludowych — dla panowania faszystów stanowi największą groźbę.

Zwiadzając Unię spotykałem na każdym kroku objawy szyskanowania i gnębienia ludzi ciemnej skóry. Rodowitym Afrykańczykom zabroniono wstępu do kin i teatrów przeznaczonych dla ludności białej, a nie ma tam ani jednego teatru przeznaczono dla nie białych; zabroniono korzystania z bibliotek, wystaw, muzeów, restauracji i hotelów, z basenów kąpielowych przeznaczonych dla białych, a basenów dla kolorowych nie ma w ogóle, zabroniono uczęszczania na boiska sportowe, do parków publicznych itp. W wagonach kolejowych Afrykańczycy mają wydzielone nieliczne przedziały, a w domach nie mogą korzystać np. z wind osobowych.

W Pretorii i Johannesburgu, w Bloemfontein i Kimberley, w Durban, Port Elisabeth, w każdej zwiadanej miejscowości rzucali mi się w oczy duże napisy: „Dla nieeuropejczyków i psów wstęp wzbroniony“. Napisy — w rdzennie afrykańskim, murzyńskim kraju, napisy o tyle różniące się od hitlerowskich — „tylko dla Niemców“, że obejmujące zakazem i... psy.

Szczególnie dotkliwie i bolesne jest dla tubylców tzw. „prawo przepu-“

stek“. Przewiduje ono, że każdy Afrykańczyk musi nosić przy sobie 12 dokumentów: przepustkę na opuszczenie miejsca zamieszkania (strefy przeznaczonej dla kolorowych), zezwolenie na zakupienie biletu na przejazd środkami komunikacyjnymi, zaświadczenie o opłaceniu wszystkich podatków, zezwolenie na poruszanie się po obszarach zamieszkałych przez białych, zezwolenie na pracę poza miejscem zamieszkania i parę jeszcze innych. Właściwie brak tylko zezwolenia „na życie“, życie, które staje się dla pradawnych mieszkańców kraju nieznośnym ciężarem.

Każdy kolorowy może być w każdej chwili zatrzymany i zrewidowa-

zorganizowanej przez jeden z uniwersytetów, było kilku kolorowych, przeczelnian w Indiach i przybyłych na wakacje do kraju. Oburzony tym do żywego, senator oświadczył:

— Włosy stają dęba na mojej głowie, kiedy słyszę o takich wypadkach... Wtedy, kiedy „keffirzy“ tańczą z białymi studentkami, któż by mógł zapewnić, że między nimi nie doszło do pocałunków.

Deputowany do Parlamentu mjr. P. W. A. Pieters, mówiąc o Afrykańczykach ujmuje to bardziej prosto i bez obłaski:

— Dajcie mi tylko karabin maszynowy i postawcie ich przede mną, a położę wszystkich trupem tak szybko, jak będą przechodzili.

„Dzielnym“ major preholował nieco. Zapomniał bowiem, że wystrze-

komunistycznej i walce z „działalnością komunistyczną“.

Dekrét ten daje w ręce rządu dyktatorskie prawa. Na jego mocy władze mogą wydalic lub uwiezic kazdego mieszkancza, rozwiacz kazda organiazacja, kazde wydawnictwo, pozbawic kazdego obywatela jego praw „zagwarantowanych“ konstytucja.

Aby tego dokonac wystarczy umiescic danego czlowieka na specjalnej listce. Kazdy, kto w ten sposob zostal posadzony o „dzialalnosc komunistyczna“, nie moze sie nigdzie odwolac i nie ma prawa do obrony. Totez na listach znalazly sie nazwiska wielu osob, dalekich od komunizmu, jak np. przewodniczacego Kongresu Hinduskiego?) w Natalu dr Naickera, czy Yusuf Cachilia, sekretarza Poludniowo-Afrykanskiego Kongresu Hinduskiego?).

Ale tak ten dekrét, jak i najbrutalniejsze represje rządu Malana nie mogą złamać wzrastającego oporu mas i potęgającej solidarności białych i kolorowych robotników, zarówno przemysłowych jak i rolnych. Nielegalna Partia Komunistyczna, Afrykański Kongres Narodowy, Południowo-Afrykański Kongres Hinduski, Rada Akcji Wyzwolenczej — i wiele innych organizacji zadaly już faszystowskiemu rządowi szerog dotkliwych ciosow.

Walka ludu wzmagą się począwszy od 1 maja 1950 r., kiedy to wielki strajk sparaliżował życie Transvaalu. Wśród walk mieszkawców i strajków, a także wśród coraz częstszych manifestacji antyrządowych w Kraju Przylądkowym — rośnie siła postępowego ruchu w obronie pokoju, o wyzwolenie społeczne i narodowe.

Kilka dni temu w Pietska, niedługo miesiąc nad rzeką Oranje, miejscowi działacze postępowi zaprowadzili mnie na rozprawę sądową. Oskarżoną była młoda 19-letnia Afrykanka — Amelia. Zbrodnia, którą jej zarzucano, było to, że od trzech lat pozostaje w związku małżeńskim z białym mężczyzną, ma z nim dziecko, spodziewa się drugiego. I — co gorsza — oboje różnoskórzy małżonkowie kochają się.

Sprawa nie trwała długo. Przekroczenie ustawy zabraniającej mieszanki małżeństw było wyraźne. Sędzia J. Boyers orzekł uniemożliwienie małżeństwa, a za utrzymanie stosunków z białym człowiekiem skazał Amelię na karę więzienia.

Nie zapomnę długo widoku tej dziewczyny. Gdy usłyszała wyrok, przez chwilę nie potrafiła go zrozumieć. A później powoli uniosła ręce i zawołała drżącym głosem:

— Czy mnie nie wolno być człowiekiem?

Przerwał jej policjant, chwytając brutalnie za ramię.

W „Capland Times“ z tego samego dnia dziwnym zbiegiem okoliczności dał odpowiedź na pytanie Amelii B. J. Shoman, senator i jeden z działaczy partii nacjonalistycznej Malana, były minister pracy. Napisał on: „Keffirs, to nie ludzie. Są oni przez samą Opatrzność przeznaczeni, aby służyć białym. Tak będzie po wieki wieków“.

Ten sam senator w 1940 roku oświadczył, że państwo Hitlera przetrwa tysiąclecia. Przepowiednia ta, jak wiadomo, nie sprawdziła się.

Tak będzie i tym razem.

Robert Lemoque

- 1) Majatki, plantacje obszarliczne. 2) Organizacje o charakterze politycznym, raczej prawniczym skupiające dużą część hinduskiej ludności Unii Południowo-Afrykańskiej. 3) Podobnie.



Takie tablice spotyka się w Unii na każdym kroku. A oto tłumaczenie napisu: „Uwaga! Tubylcy, hindusi i inni ludzie kolorowi, jeżeli wejściecie tu nocą, znajdziecie się na liście nieboszczyków. Ubrojona straż będzie do was strzelać, wściekłe psy otrzymają wasze ciała na pożarcie. Zostaliście ostrzeżeni!“

ny; najmniejsze „przewinienie“: brak jednego z dokumentów, nieprawidłowe przejście ulicy czy „aroganci wyraz twarzy“ — są podstawą dla surowych wyroków sądowych. Totez — jak wykazują oficjalne statystyki — niewiele tylko Afrykańczyków osiąga wiek 23 lat, nie będąc karanymi.

Sam wyrok sądowy to już jednak fraszka w porównaniu z tym, co dzieje się za kulisami oficjalnej sprawiedliwości. Opowiadano mi w Johannesburgu, że niedawno skopano tam na śmierć kolorowego, aresztowanego za to tylko, że odważył się „wyjść na ulicę ubrany tak jak europejczyk“.

W innej miejscowości De Aar, 16-letni Afrykańczyk został po torturach zamordowany na posterunku policji.

Te przerażające w swej ohydzie metody nie wystarczają już zbliżającym się zjazdem partii Malana, opracowuje się rezolucje żądające umieszczenia Hindusów w specjalnych obozach (ghettach), zrównania plac Afrykańczyków zatrudnionych w przemyśle i w zakładach użytkowości publicznej z najniższymi placami otrzymywanymi przez kolorowych robotników na roli — chodzi bowiem o dostarczenie taniej siły roboczej właścicielom farm. Rezolucje domagają się zastosowania jeszcze ostrzejszych kar wobec tubylców „złapanych“ na obszarach zamieszkałych przez „europejczyków“ po nastaniu zmroku, strzelania do nich bez ostrzeżenia. Nie brak nawet projektów zakazu posiadania psów. Widąc, żeby psom umożliwić „wolny wstęp do lokalów“.

W świetle tych żądań, jakże łagodna wydaje się wypowiedź senatora Unii — J. J. van Kensburga. Dowiedział się on, że na zabawie tanecznej w Indiach, studiujących na

Sprawy międzynarodowe

Bilans na Bermudach

ale jak podwładny, któremu wydaje się polecenia. Bermudy miały być dla delegacji francuskiej, tym, czym była wizyta w Berchtesgaden, dla delegacji czechosłowackiej w 1938 r. — podpisaniem własnego wyroku, zgodą na samobójstwo narodowe.

Pod tym względem zawiedli się organizatorzy konferencji na Bermudach. Mimo wywartego na nią nacisku delegacja francuska nie była w stanie podjąć żadnych konkretnych zobowiązań co do ratyfikacji układu o „armii europejskiej“. Premier Laniel, zaraz po przyjeździe na Bermudy, „dyplomatycznie“ zachorował i nie był obecny na posiedzeniach, chociaż choroba nie miała, aż tak ciężkiego przebiegu, aby nie pozwolił mu na spacer po ogrodzie swojej rezydencji w towarzystwie prasowych fotografów. Reprezentacja Francji złożona została na ministra spraw zagranicznych, Bidault, znanego zwolennika „armii europejskiej“. „Eisenhower i Churchill — pisal korespondent amerykańskiej agencji „A. P.“ — byli zdecydowani wywrzeć nacisk na Laniela tak dalece jak tylko będzie to możliwe... Jednakże nacisk nie dał wyniku ponieważ Bidault mógł jedynie wyjaśnić powody dla których Francja boi się odrodzenia potęgi niemieckiej“. Nie zmienia to, oczywiście faktu, że anglosaskie mocarstwa deklarując zgodę na berlińską konferencję czterech, jednocześnie zawiązywały się na Bermudach przeciwko pokojowej polityce krajów Obozu Pokoju.

Co sprawiło, że Stanom Zjednoczonym i Anglii nie udało się przeprowadzić w pełni na Bermudach swojego punktu widzenia w sprawie „armii europejskiej“? Co sprawiło, że państwa zachodnie zamiast uszytnić swoje stanowisko wobec Związku Radzieckiego, musiały wyrazić zgodę na radziecką propozycję zwolnienia konferencji w sprawie Niemiec?

Odpowiedzi na te pytania nie znajdziemy na Bermudach, ale w zmieniającej się stale na korzyść obozu pokoju, na naszą korzyść, sytuacji międzynarodowej. W obliczu coraz bardziej nachałnych prób odrodzenia przez anglo-amerykański imperializm zaborczego militarystyki niemieckiej, we wszystkich środowiskach na zachodzie, a zwłaszcza we Francji, umacnia się kierunek dążący do zabezpieczenia pokoju w Europie poprzez porozumienie z sąsiadami Niemiec. Ta rosnąca siła zwolenników porozumienia między wszystkimi sąsiadami Niemiec skreślała swobodę ruchów delegacji francuskiej na Bermudach i przed tą siłą skapitulować musiały rządy USA, Anglii i Francji, wyrażając zgodę na radziecką propozycję rokowań w sprawie niemieckiej.

Coraz ostrzejsze i nie dające się rozwikłać sprzeczności w obozie państw atlantyckich, coraz szersza i wywierająca coraz większy wpływ na rozwój wydarzeń jedność sił pokojowych — oto bilans Bermudów z końcem 1953 roku.

Tomasz Atkins

Sprawy przyjaciół

NAUKA

Na konferencji czolowych przedstawicieli węgierskiej nauki rolniczej i praktyków rolniczych, imre Nagy, omowil zadania, stojace przed rolnictwem w walce o szybsze podniesienie stopy zyciowej.

Szczególną uwagą poświęcił mowca łączności nauki z praktyką rolniczą. Węgierska nauka rolnicza — stwierdził Nagy — już przed wojną osiągnęła poważne wyniki, Węgry jednak były pod względem praktyki rolniczej jednym z najbardziej zacofanych krajow w Europie. Spowodowane to było ówczesnymi stosunkami produkcji, gdy nauki feudalny ustrój uniemożliwiał wykorzystanie osiągnięć naukowców w praktyce. W chwili obecnej sytuacja jest odwrotna: węgierska nauka rolnicza nie nadąża za zmieniającymi się stosunkami w rolnictwie. Nie dała ona dotąd odpowiedzi na szereg ważnych zagadnień, które codziennie wysuwa życie. Zdaniem węgierskiego premiera przedstawiciele nauki powinni opracować plan rozwoju rolnictwa i podwyższenia jego wydajności, a następnie bić się o należytą realizację tych planow. „Taka bojowa nauka — stwierdza Nagy — pobudzi w dukcję i we właściwym czasie będzie w stanie sygnalizować powstające trudności“.

Brak inicjatywy ze strony nauki mowca powiazal ściśle z niedostatecznym rozwinięciem systemem wymiany poglądow i dyskusji, one bowiem stanowią podstawowy czynnik wszelkiego postępu naukowego.

Rząd Bułgarskiej Republiki Ludowej przeznacza poważne sumy na rozwój prac naukowo-badawczych w dziedzinie rolnictwa. Uprawy rolnicze znajdują się tu rozwinięte w instytutach i stacji naukowo-badawczych, w których pracują ok. 400 pracowników naukowych. W ostatnich latach utworzono szereg nowych instytutow, szczególnie ważnych są: gosszkołarstwa, Centralny Instytut Waprawy Bawelny, Centralny Instytut Waprywnictwa, Instytut Mechanizacji Rolnictwa, Instytut Hydrotechniki i Melioracji. W wyniku prac uczonych bułgarskich wynodowano nowe odmiany pszenicy i tytnicy, bawelny, konopi, słonecznika i tymoniu, uzyskując znaczne zwiększenie ilości i jakości plonow. Obecnie przeprowadza się badania nad wprowadzeniem prawidłowej rejonizacji produkcji rolnej.

Funkcje koordynacyjne w stosunku do naukowych badan rolniczych sprawuje w Niemieckiej Republice Demokratycznej Instytut nauki o Ziemi i Rolnictwie, istniejący od 2 lat. Akademia Nauk Rolniczych, Obok Rozwoju Rolnictwa, ma działalnosc naukowca oraz instytucje naukowe, popularyzujące nowe osiągnięcia oraz organizuje konferencje i zjazdy naukowe. Jednym z głównych zadan Akademii jest stowarzyszenie i nie osiągnięć dosyć, w dziedzinie techniki rolniczej z ZSRR oraz nawiązanie łączności z odpowiednimi instytucjami naukowymi za granicą. Akademia Nauk Rolniczych posiada 9 sekcji, którym z kolei podporządkowane są poszczególne ośrodki badawcze i instytuty. Obecnie w dziedzinie nauki i inżynierii w dziedzinie rolniczej, geobrazowania, nawożenia i uprawy ziemi, uprawy i ochrony roślin, techniki rolnej, sadownictwa, nudołw i zwiwnia zwierząt, medycyny weterynaryjnej, lecznictwa zwierząt, kultury roślin i zwierząt, przyrody, z rozlicznymi badan, prowadzonych obecnie przez naukowcow NRD, wymienić należy przykładowo prace nad nowymi szczepionkami przeciw zarazom zwiwnia zwierząt, nad wyhodowaniem nowych, wydajniejszych gatunkow roślin i zwierząt, jak również nad konstrukcją nowych maszyn i narzędzi rolniczych.

OSWIATA

Ustrój ludowo-demokratyczny stworzył przed wsią nieograniczone możliwości zdobywania oswiaty. Począwszy od stałego rozwijania się szkolnictwa podstawowego (w Bułgarii, na przykładzie ma już am. Enrich i Webera, w zeszłym państwo rozbudowało i uodostepnia synom i corkom chłopskim średnie i wyższe uczenie najrozmaitszych specjalności. W dziedzinie szkolnictwa rolniczego zwraca uwagę niezwykły szybki rozwój wyższych uczelni naukowych. W 34 wyższych uczelniach rolniczych Chin kształci się ponad 16 tysięcy przyszłych wysoko kwalifikowanych agronomów i mechaników rolnictwa. Ilość studentów w rumuńskich wyższych uczelniach rolniczych zwiększyła się w ciągu 3 lat prawie dwukrotnie. Tysiące specjalistow opuszczają corocznie 5 powstałych po wojnie wyższych szkół rolniczych w Bułgarii. Średnie kadry specjalistow kształca liczne technika i szkoły rolnicze.

Powazne znaczenie w szybkim podnoszeniu kwalifikacji mają kursy rolnicze i szkoły specjalne. W 1500 trzyletnich szkołach, istniejących w Czechosłowacji, 50 tysięcy chłopow zdobywa w tej chwili wiadomości z dziedziny rolnictwa. W Bułgarii przeszkolenie rolnicze obejlo ponad 300 tysięcy pracowników rolnictwa.

SZTUKA

W tych dniach wyjechał na występy gościnne do Chłnskiej Republiki Ludowej ponad 200-osobowy państwowy Zespół Sztuki Ludowej z NRD. Zespół, którego program zawiera zarówno ludowe, jak i rewolucyjne oraz współczesne pieśni i tance, odniosł ostatnio szereg sukcesow w Niemczech zachodnich. Podróż po Chinach stanowiąc będzie jego pierwszy występ w pierwszym zespole Państwowego Zespołu Sztuki Ludowej powstał w styczniu 1952 r. jednocześnie z Centralnym Zespołem Związkow Zawodowców. Charakter reprezentacyjny posiadają także zespoły Policji Ludowej oraz im. Enrich i Webera, ze wszystkich sztuk ludowej pielegnowanej przez państwo. W tym roku w Berlinie, odbył się koncert z 4 zespoły. Rozwija się ona przede wszystkim w blisko 16 tysięcy grup i kolekt sztuki ludowej, obejmujących ok. 700 tys. uczestników. Obserwowany w ostatnich latach bujny rozkwit twórczości artystycznej jest nie tylko sztuką ludową pielegnowaną przez państwo, ale w ogóle nie ma namot mowy o jej utrzymaniu. Teorie te, mające poważne poparcie w tradycji drobnośszczańskich kolekt śpiewaczych i im podobnych zreszes, szczególnie hamujące oddziaływały w pierwszym okresie powojennym. Przełom w tej dziedzinie stanowią entuzjastycznie witane przez masę ludow NRD występy szeregu zespołow ludowych pieśni i tańca z ZSRR i krajow demokracji ludowej. Od tego momentu rozpoczął się powonny rozkwit sztuki ludowej. Pierwszy Festiwal Niemieckiej Sztuki Ludowej, który odbył się w lipcu 1952 roku w Berlinie, był już przeglądem osiągnięć tysięcy ludowych zespołow artystycznych. Wzieli w nim udział artyści ludowi ze wszystkich stron Niemiec, tancerze i pieśniarze ze Szwarzwaldu i Bawarii, kłace z Malmemburgh, gancarze z Saksonii, rzemiełnicy, malarze i w. in.

Opiekę nad twórczością ludową sprawuje powstała w w. r. w. Centralny Dom Sztuki Amatorskiej w Lipsku. Kieruje on twórczością amatorską pod względem ideologicznym i artystycznym oraz naukowo-metodycznym. Działalnosc terenowa prowadzona jest poprzez zorganizowane w poszczególnych powiatach gabinety sztuki amatorskiej.

NA podwórzu zaszczekał pies i Jan poruszył się niespokojnie.
— Kto tam? Zobacz — mruknął do żony i wpatrzył się pietkącymi oczyma w jasny prostokąt drzwi, pełen oślepiającego blasku. Kobieta stanęła w progu, uniosła rękę do czoła.
— Nie ma nikogo. Coś tak nieswój? Jakbyś co komu ukradł... — powiedziała pół żartem, a pół gniewnie, bo już od kilku dni chodził taki nastraszony i nasłuchujący. — Sumienie masz czyste, to czego się boisz? Przyjdą i pójdą; do wszystkich chodzą, nie tylko do ciebie. Swoje robisz, młociśz, a potem, to już twój gospodarski rozum. — Patrzyła na niego niby uspokajająco, a przecież wiedział, że i jej te same myśli chodzą po głowie. Krzątała się jeszcze przed jej niezwykłą, jakby dla odpędzenia tych myśli.
— Jasiak wziął rower? — zapytał Jan, przegarniając palcami żółte, ciężkie ziarna.
— Wziął — odburknęła, nie patrząc na niego.
— Do gminy pojechał, co?
— Nie odpowiedziała, schyłona nad

ROŻA OSTROWSKA

ZIARNA KTÓRE WZEJDA

(OPOWIADANIE)

Ilustrował M. WALENTYNOWICZ

1 drobnego człowieka za jego plecami.
— Obywatel Ryske dawno buntuje ludzi przeciw akcji dostaw — głos jego drzał od powściąganego wzburzenia, — przeciągnął już na swoją stronę niejednego. Tu obecny obywatel Czereda...
— Mnie w to nie mieszaj — krzyknął Czereda ostro. Gojka umilkł na chwilę, jakby walczył ze sobą. Podjął inaczej:
— Będę krótko gadał. Obywatel Ryske ma zbroja dość. Każdy wie, jakie to gospodarstwo. Urodzaj był taki sam w całej gromadzie. Wielu biedniejszych dawno odstawiło wszystko. Ale Ryske złożył podanie o ulgę. Pewnie, niech mu państwo coś spuści, biedniejsi za niego będą



klepskiem. Jan zaklął cicho. Brała stronę syna, tym milczeniem przyzwalała jakby na jego postępowanie. A zdawało się, że jak jej tłumaczył — rozumie. Takie to i rozumienie.
Narastała w nim złość i poczucie osamotnienia.
— No, dosyć — krzyknął nagle na Sietka, który — jakby mu mało było zmęczona, zabawił się jakąś gminastką na potężnych belkach poa suitem. — Dalej, do roboty!
Sietek kopnął się co żywo na podwórzu. Po drodze klepnął konia po szyi, kiasnął batem. Manęz skrzyknął, ruszył. Ogłuszający stukot podnosił się na nowo, na nowo wrować począł gęsty pył. Jan zaczął chwycił ciężkie snopy, rozrzucił je jednym ruchem na stół, podsuwał w żęby maszynie; tym razem nie usłyszał nawet szczenia psa. Sposurzył się dopiero, gdy kilka obcych głosów zabrzmiało na podwórzu i rozwarte drzwi przesłonił ciekawo kuku postaci. Przez chwilę — rozmyslnie — nie przerywał pracy.
— Dzień dobry — krzyknął jakiś nieznanym mu głos. Wtedy dopiero, nie spiesząc się wszedł w krąg światła, na spokanie przybył.
Było ich trzech. W nagłej ciszy stali trochę zakłopotani. Wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce usmiechał się przyjaźnie.
— Wy jesteście Jan Czereda? — wyciągnął rękę. — Gatusz jestem, z Komitetu Powiatowego. Przerwałam wam pracę.
Jan podał mu rękę, — spojrzaniem przeleciał po drugim w granatowej jesionce. Nie znał go. Ale już doszłszy trzeciego i — jak zawsze — krew w nim zawrzała. Oczy spotkały się chłodnym wzrokiem Michała Gojki, sołtysa.
— Proszę do domu, co tak będziemy stać — powiedział spokojnie, tłumiąc wzburzenie. Pierwszy wyszedł na zalane słońcem podwórzu, odetchnął głęboko. Gojka nie ruszył się z miejsca, świdrując go oczami, ale obaj przyjeźdźni wyszli za Janem. Delegat z powiatu zatrzymał go ruchem ręki.
— Nie będziemy wam zabierać dużo czasu. Chwilę chcieliśmy porozmawiać z wami. Przysiadł na stosie desek, wyjął pudełko, Jan skinął głową, w milczeniu wziął papierosa.
— Ładne macie budki — zauważył ten drugi. Miał otwartą, rumianą twarz i mocne uważne spojrzenie. — Mówią o was, żeście pierwszym gospodarz — usmiechnął się życzliwie — no to i z odstawą chyba dobrze będzie, co?
Podsunał Janowi zapalną, osłaniając ją dłonią, silną i spracowaną.
— Jan długo zapalał, unikając przyjaznych spojrzeń Za plecami czuł obecność Gojki, czuł na plecach wzrok tamtego, chłodny, nieugięty. Stara złość podchodziła do gardła, opancerzała lodem przed ciepłą życzliwość przyjeźdźcy.
— A wy tak od razu, do interesu? — powiedział powoli, cierpko.
Delegat z powiatu zasmiał się głośno. Miał bardzo białe zęby w młodej, choć zmęczonej twarzy. Przytaknął głową.
— Pewnie, że do interesu. Po to tu przyszliśmy. Ogdadac nasz wspólny, najważniejszy interes. Przyjechalibyśmy z miasta, od roboty i wam też nie chcemy przeszkadzać w robocie. Chodzi o to, że zalegacie z odstawą. Prawda? Więc chcemy, żebyście powiedzieli: dlaczego? — wciągnął się usmiechał — Przecież widać macie nie za duży; gospodarz z was tegi, urodzaj u was był niezłego, sobie... to jakże tak?

— Musimy wiedzieć. Na chleb się zyskujemy — wrócił ten drugi — czekamy na chleb od was, towarzyszu Czereda.
Słońce schyliło się za topolę, rosnącą przy bramie, słabiej i chłodniej przeświecając teraz przez rzadkie już liście.
— Dużoby gadać — powiedział wreszcie Czereda, ociągając się ze słowami, jakby mu przychodziły z trudnością, — co będę miał, to odstawia.
Myśl o Gojce przeszkadzała mu słuchać tego, co mówili tamci. Ich słowa i jego myśli szły innym torem. Drgnął, kiedy delegat z powiatu wymówił słowo: syn.
— Wasz najstarszy kończy już szkołę w Pucku, słyszałem. Dobraowaliście się dla niego pięknej przyszłości. Nie bez wyrzeczeń, jasne. Macie jeszcze dwoje młodszych, tak?
Czereda kiwnął głową. Rozgniał niedopalonego papierosa w palcach.
— Wstyd! — powiedział ochryple — wstyd! Opetali was! Ale ja wiem, kto was opętał. — Nagle podniósł głos, krzyknął prawie:
— Z drogi, bo rozjadę!
Czereda cofnął się, zaskoczony. Gojka ruszył szybko, nie odwracając się.
Wiatr przeleciał po drzewach, na drogę sygnęły się liście czerwone i żółte. Powiał chłodem, nagle zapadającym zmierzchem. Jan Czereda stał bez ruchu. Gniew opadł nagle, pozostawiając niepokój i rozżalenie. Powoli ruszył drogą przed siebie, jakby zapominał o pozostałym w domu, o porzuconej pracy, o wszystkim.
Myślał ciężko, chaotycznie. Całe życie zmagając się z biedą, całe życie orał jak wół na swoim drobnym kawałku ziemi. Dwoje najstarszych chowało się w tej biedzie i niedostatku, bez nadziei na lepsze jutro. Całe życie przywykł z zadręczenia i głodem w oczach patrzeć na tych, co mieli dość ziemi i chleba. Kiedy mu się odmieniło, kiedy po wojnie osiadł tu na porządnej gospodarce, powiedział sobie: koniec z pustymi garnkami, koniec z zadawaniem.
Pracował za dziesięciu. Państwo mu pomogło, on przyjął to jak należną sobie nagrodę — za lata poniewierki, za lzy żony i mizerotę dzieciaków. Nie wdawał się w rozważanie, kto komu i co był winien. Miał swoją ziemię, swoją stodołę, którą skrzętnie co rok napełniał szumiącym bogactwem, co daje chleb i spokojną przyszłość. Wycisnęło z potu i ziemi złotówki rozliczał skrzętnie: to na ubranie, to na książki dla dzieci, to na remont budynków i narzędzia, to na nawozy. Powoli zasnawał dostatkem. W skryżni rosło wiano najstarszej córki, Anki. Już wtedy zaczął Czereda garnać się do tych, co mieli lepiej od niego. Jakby odsuwaniem się od biedoty chciał zerwać ostatnie więzy wspomnień, łączących go z przeszłością. Nie mógł jednak zapomnieć. Drżał zawsze przed widmem biedy, zawsze niedosyć pewny swego losu. Poprzedził sobie zapewnić dzieciom dobre życie, nie pozwolić im nigdy znać niedostatku. Patrzył z dumą na Ankę, roześmianą, jasną dziewczynę. Chodziła piękniejsza i niegorzej ubrana, niż córka niejednego bogacza. I wtedy właśnie pojawił się Gojka. Paromorgowy wyskok — myślał o nim Czereda. Anka przepadała na całe wieczory... Czereda otrząsnął się. Ale ból rósł, szarpał wspomnie-

niem. Anka poszła z domu — na tę samą drogę, w jakiej wyrosła — tak myślał. Domek mizerny, pustki w obejściu, mąż golec i przyskacz. W rozpaczy i gniewie zerwał wtedy z córką wszystkie stosunki. W rok potem Gojka został sołtysiem. Ale to pogłębiło tylko nienawiść Jana Czeredy. W tym czasie bowiem jego przyjaźń z Feliksem Ryske była już jawna i obowiązująca.
Po stracie Anki cała troska Czeredy przeniosła się na dorastającego syna, Jasiaka. Jasiak jeździł do Pucka, do szkoły zawodowej. Ale Czeredy nie uspokajał fakt zapewnienia synowi zawodu i pracy w mieście. Chciał dla niego pewniejszego, zabezpieczonego życia. A cóż mogło być lepiej zabezpieczyć, jak nie ziemia — jedyne w oczach Czeredy, niezawodne oparcie. Tej ziemi piękny kawał otrzymała miała w posagu jedyna córka Feliksa Ryske.
Do Feliksa Ryske pociągało Czeredę wiele — i wzorowe duże gospodarstwo tamtego i jego pracowitość, oszczędność, spryt, umiejętność gospodarskiego przewidywania. A przede wszystkim — jego dostatknie nie od wczoraj życie, tradycje sytości i zamożności tej rodziny od kilku pokoleń. Powoli Ryske przywiązał do siebie Czeredę, a opłatał go delikatną siecią swoich pótobietnic, półzartów, zamknął go w kręgu swoich sceptycznych uwag, swojej ostrożnej, ociągającej się taktyki wobec wszystkiego nowego, które działo się wsi.
Feliks Ryske czytał gazety, słuchał radia, o wszystkim umiał rozsądnie pogawędzić. Na wszystko miał wyrobiony pogląd. I choć Czereda nie zawsze z nim się w duchu zgadzała, na zewnątrz przytakiwał, niezdojny już oprzeć się tamtemu, jakby — poprzez wyrealizowane drobne usługi i niezrealizowane jeszcze obietnice — na zawsze z tamtym związały.
W zeszłym roku, na jesieni, Ryske doradzał zboże odwieźć. Sam dał przykłąd, ładując wielkie wory na wagę. Ale w tym roku już we żniwa zaczął z Czeredą rozmowę. Sumował wiadomości z gazet i radia, tego naszego i tego zagranicznego, po swojemu obliczał i przewidywał... Wychodziło z tego, żeby zwle-

kać z odstawą, zwlekać jak najdłużej... W rozmowie wspominał parę razy o córce, że jej pora zamąż... Czereda wstrząsały dreszcze niepewności i rozterki, naprzemian nadziei, to znów niepokoju, jakby zabłądził na nieznanym drogach...
Ryske. Czereda pchnął drzwi i znalazł się w oświetlonym pokoju.
Gwar ucichł i wszystkie głowy zwróciły się ku wchodzącemu. Czereda jak przez mgłę dostrzegł zdumioną twarz przewodniczącego rady, sekretarza, paru innych. Patrzył w lewy kąt pokoju, gdzie za małym stołkiem, jak oskarżyciel publiczny, stał ze wznieśloną ręką jego zięć, sołtys Gojka. Naprzeciw niego stał dwaj dobrze mu znani — Feliks Ryske i jego krewniak Liszka.
— Wy do mnie, panie Czereda? — odezwał się przewodniczący, zaskoczony — to może byćście poczekali, aż my tu skończymy posiedzenie komisji...
Czereda zmieszany się nagle, cofnął się ku drzwiom. Ale Gojka wyskoczył zza stołu, nachylił się do przewodniczącego.
— Towarzyszu — powiedział wzburzonym głosem — niech Czereda zostanie. Jako świadek.
— Tu nie sąd — kwaśno rzucił Ryske. Jego ogorzała, tęga twarz była barwy ciemno-czerwonej. Stał zimny i pewny siebie. Za to jego krewniak drobnym, wątlwym człowieczkiem, nie mógł pohamować nerwowego drgania ramion. Składał i rozkładał dłoń.
— Spokojnie, obywatelu — przewodniczący zastukał ołówkiem w stół — porządek musi być. Obywatelu Czereda, sładajcie. To jest sprawa, można powiedzieć, gromadzka.
— Przystępujemy do sprawy, obywatelu — uciął sucho. — Do gminy wpłynęło podanie o ulgę w dostawach zboża obywatela Feliksa Ryske z gromady...
— O ulgę! — wykrzyknął Czereda, spojrzał się i cofnął zmieszany w kąt. Gojka rzucił mu ostre, triumfujące spojrzenie.
— Obywatel Ryske tłumaczy się niurodzajem na jego polach. Wypada na niego 4 tony 235 kilogramów zboża. Odstawił 720 kilogramów, więcej nie może, bo nie ma — tak tutaj podaje.
Z kąta, gdzie ukrył się Czereda, doleciał jakiś dźwięk, jakby przekleństwo. Ale dosłyszał je tylko Gojka.
— Oddaję głos sołtysowi gromadzkiemu, Michałowi Gojce — przewodniczący zaszleścił papierami. Gojce drgały brwi i nozdrza. Przez chwilę milcząc patrzył na obu; wielkiego brylowatego Ryske



Czeredy, jego chleb, jego przyszłość.

Czereda zadyszał się i przystanął.
Oto wioska przed nim, zapadła wśród drzew, cicha już o tej porze i zdawałoby się spokojna. Ale Czereda czuł, że ta cisza jest tylko pozorna, że wewnątrz, od domu do domu, od okna do okna, chodzi ten sam niepokój, co i tutaj jego w tej chwili. Przeciw komu szedł tak o zmroku, jesienną drogą? Zdecydowanym krokiem ruszył ku wsi. Za chwilę wchodził na ganek gminy. Dwa okna świeciły ostro w mroku ogrodu. Zza okien doleciał mu gwar zmieszanych, gorących głosów. Czereda zważał się w ciemnej sionce, ale wahanie trwało tylko chwilę. Przez drzwi usłyszał bowiem głos, który podziałał na niego, jak smagnięcie biczem. Był to głos Feliksa

robić... On nie ma zboża. Za to jego szwagier bogaty — głos Gojki nasykany gorączką — jego szwagier wczoraj był na rynku w Wejherowie i sprzedawał zboże. Niedrogo sprzedawał, ucziwie — wóz zboża w mig rozebrali...
— Jego zboże, ma prawo sprzedawać, czy nie? — krzyknął Ryske. W gardle mu coś bulgotało. Przewodniczący zastukał ołówkiem w stół. Drobnym człowieczkiem za plecami Feliksa Ryske zdawał się kurczyć i maleć.
— Ale, jego zboże. Z tego jednego hektara, co go u ciebie dzierżawi — huknął Gojka.
— Proszę o spokój, obywatelu — przerwał przewodniczący — głos ma obywatel Liszka.
Liszka rozrzucił bezradnie ręce.
— Czyje zboże sprzedawaliście wczoraj w Wejherowie — zapytał powoli przewodniczący.
Ryske popchnął lekko szwagra, aż się wyjął.
— Moje sprzedawałem, przecie.
— Czy wó? Z tego jednego hektara? Tak wam obrodziło? — sztydził Gojka. Przewodniczący znów uderzył w stół — tym razem pięścią.
Liszka milczał.
— Gadajże — krzyknął Ryske — czego się boisz? Wolność jest czy jej nie ma?
Liszka milczał. Działo się z nim coś dziwnego. Drobną, zastrachoną twarz kurczyła się, drgała, ręce spłatały i rozplatały.
— Odpowiadacie przed gromadą — surowo powiedział przewodniczący.
— Mnie odpowiedzcie. Takiemu samemu bogaczowi jak wy — wykrzyknął lekko Gojka.
Liszka skurczył się jeszcze bardziej. W nagłej ciszy padły jego wątlwe jakby, mizerne słowa:
— Sprzedawałem szwagra. Potrzebowałem pieniędzy na wesele.
Westchnął głęboko i stał — już spokojny.
— Łesz — syknął Ryske i przyskoczył do Liszki z pięściami.
— Wolnego — Gojka chwycił go za ramiona. Przewodniczący zerwał się, skoczył na nogi sekretarza.
— Obywatelu, dość tego Spokój. Ryske opuścił ręce, cofnął się. Szczęki mu chodziły.
— Na jakie wesele? — cicho zapytał Gojka. — Na jakie wesele? — powtórzył głośnie.
Liszka stropił się, znów zalekniony.
— No, na wesele. Córke wydaje za Samulewskiego z Wejherowa. Tego, co miał restaurację przy dworcu — wyjąkał.

— To dla nich jeszcze się trzeba potrudzić. I ja mam dzieci w szkole. Odpłaci się wam stokrotnie, już się odplaca — i wy wiecie to tak samo dobrze, jak ja — pochylili się ku Janowi. Mówił cicho, gorąco, serdecznie.
Człowiek w granatowej jesionce podszedł do niego blisko.
— Pracuję w Bolszewie, w cementowni — powiedział — jestem robotnikiem, nie znam się na rolniczych sprawach. Powiem wam tyle: od was, osobiście od was, towarzyszu Czereda zależy teraz wszystko. Każdy z nas, z moich kolegów, to samo wam powie. My nie jeden raz mamy trudność z wykonaniem planu. Ale — zamachnął się — usuwamy je z drogi, ot, tak. Mam wam tłumaczyć, dlaczego to robimy?
Wpatrzył się w twarz Czeredy. Blask jego oczu powoli wygasł, jakby ochłodziło go milczenie chłopca. Jego towarzysz podniósł się, obciągnął na sobie skózaną kurtkę. W sposobie trzymania ramion wyczuć można było zmęczenie.
— No, to jak będzie? — zapytał, wyciągając rękę do Czeredy — kiedy odstawicie zboże?
Jan odwrócił się gwałtownie, spotkał wzrok Gojki. Młody sołtys patrzył na niego jakby drwiąco. Jan ujął bez pośpiechu podaną sobie dłoń.
— Przecie młóć jeszcze — odparł niechętnie — nie mam tak bardzo z kim robić. U mnie nie fabryka.
Dojrzał w twarzy Gojki zmierpliwienie, więc dodał jeszcze z przekąsem:
— U nas we wsi są tacy, co tylko by spacerowali po cudzych podwórkach, choć portek całych nie mają. U mnie roboty od świtu do nocy dosyć. Cudzego nie ciekawym.
Obaj zegnali się powoli, jakby zawiedzeni. Czereda nie odprowadził ich do bramy. Nie odpowiedział na sołtysowe dość harde „dowódzenia”. Patrzył za odchodzącymi, aż znikli za topolą, gdzie droga skręcała na lewo, głębiej w wieś. Wtedy odwrócił się, krzyknął na Sietka:
— Czego się gapisz? Idź, pomóż matce sprzątać — i ciężkimi krokami ruszył ku ścieżce idącej ukosem przez pole do szosy. Pchała go złość i wzburzenie, które kipiało w nim, dawało gardło. Za gęstą osłoną krzaków przy drodze przystanął i wyjrzał ostrożnie.
Tak, jak przypuszczał — sołtys Gojka zegnął się z przyjeźdźcami na zbiegu drogi i szosy. Wsiadali do zakurzonej, zielonej „Skody”. Wóz ruszył, po chwili rozpylił się w dalekiej wstążce szosy. Czereda czekał. Gojka nie zawrócił ku swojej zagrodzie, tylko szedł powoli z powrotem, prowadząc swój wysturżony rower. Skręcał papierosa.
— Do gminy polecę — przemknęło Janowi przez głowę. Chwilę czekał jeszcze, aż dojrzał zbliżać się niecierpiącą czemiawą twarz o wąskich wargach i chłodnym spojrzeniu. Wtedy wyszedł na drogę i zatrzymał się przed nadchodzącym. Gojka drgnął.
— Ja tobie już nieraz zapowiadałem, trzymaj się z daleka od mego domu, — krzyknął Czereda, zacinając się pięści — swoim sołtewem możesz gdzie indziej świecić. Ode mnie wana, żebyś nie usłyszał: poszedł wona.
Gojka patrzył mu spokojnie w oczy, tylko silnie objawiały dłońmi kierownicę roweru. W ustach trzymał niezapalony papierosa.
— Młóć się za to, że córka grosza nie dostala. Komisje na mnie naprowadzasz. Żeby pokazać: „patrzcie, to Czereda stoi po tamtej stronie. On wróg”. — Ty, domosi-

— To dla nich jeszcze się trzeba potrudzić. I ja mam dzieci w szkole. Odpłaci się wam stokrotnie, już się odplaca — i wy wiecie to tak samo dobrze, jak ja — pochylili się ku Janowi. Mówił cicho, gorąco, serdecznie.
Człowiek w granatowej jesionce podszedł do niego blisko.
— Pracuję w Bolszewie, w cementowni — powiedział — jestem robotnikiem, nie znam się na rolniczych sprawach. Powiem wam tyle: od was, osobiście od was, towarzyszu Czereda zależy teraz wszystko. Każdy z nas, z moich kolegów, to samo wam powie. My nie jeden raz mamy trudność z wykonaniem planu. Ale — zamachnął się — usuwamy je z drogi, ot, tak. Mam wam tłumaczyć, dlaczego to robimy?
Wpatrzył się w twarz Czeredy. Blask jego oczu powoli wygasł, jakby ochłodziło go milczenie chłopca. Jego towarzysz podniósł się, obciągnął na sobie skózaną kurtkę. W sposobie trzymania ramion wyczuć można było zmęczenie.
— No, to jak będzie? — zapytał, wyciągając rękę do Czeredy — kiedy odstawicie zboże?
Jan odwrócił się gwałtownie, spotkał wzrok Gojki. Młody sołtys patrzył na niego jakby drwiąco. Jan ujął bez pośpiechu podaną sobie dłoń.
— Przecie młóć jeszcze — odparł niechętnie — nie mam tak bardzo z kim robić. U mnie nie fabryka.
Dojrzał w twarzy Gojki zmierpliwienie, więc dodał jeszcze z przekąsem:
— U nas we wsi są tacy, co tylko by spacerowali po cudzych podwórkach, choć portek całych nie mają. U mnie roboty od świtu do nocy dosyć. Cudzego nie ciekawym.
Obaj zegnali się powoli, jakby zawiedzeni. Czereda nie odprowadził ich do bramy. Nie odpowiedział na sołtysowe dość harde „dowódzenia”. Patrzył za odchodzącymi, aż znikli za topolą, gdzie droga skręcała na lewo, głębiej w wieś. Wtedy odwrócił się, krzyknął na Sietka:
— Czego się gapisz? Idź, pomóż matce sprzątać — i ciężkimi krokami ruszył ku ścieżce idącej ukosem przez pole do szosy. Pchała go złość i wzburzenie, które kipiało w nim, dawało gardło. Za gęstą osłoną krzaków przy drodze przystanął i wyjrzał ostrożnie.
Tak, jak przypuszczał — sołtys Gojka zegnął się z przyjeźdźcami na zbiegu drogi i szosy. Wsiadali do zakurzonej, zielonej „Skody”. Wóz ruszył, po chwili rozpylił się w dalekiej wstążce szosy. Czereda czekał. Gojka nie zawrócił ku swojej zagrodzie, tylko szedł powoli z powrotem, prowadząc swój wysturżony rower. Skręcał papierosa.
— Do gminy polecę — przemknęło Janowi przez głowę. Chwilę czekał jeszcze, aż dojrzał zbliżać się niecierpiącą czemiawą twarz o wąskich wargach i chłodnym spojrzeniu. Wtedy wyszedł na drogę i zatrzymał się przed nadchodzącym. Gojka drgnął.
— Ja tobie już nieraz zapowiadałem, trzymaj się z daleka od mego domu, — krzyknął Czereda, zacinając się pięści — swoim sołtewem możesz gdzie indziej świecić. Ode mnie wana, żebyś nie usłyszał: poszedł wona.
Gojka patrzył mu spokojnie w oczy, tylko silnie objawiały dłońmi kierownicę roweru. W ustach trzymał niezapalony papierosa.
— Młóć się za to, że córka grosza nie dostala. Komisje na mnie naprowadzasz. Żeby pokazać: „patrzcie, to Czereda stoi po tamtej stronie. On wróg”. — Ty, domosi-

JOZEF LENART

DO STANISŁAWA S.

Styczeńowy mróz.
Rok: czterdzieści sześć.
Na plecach — lachman przetarty.
Gorączka...
Pod wiatr trzeba ją nieść
I przed oczami — plamy barwne.

Tego wam nie zapomnę, panie Stanisławie:

Pamiętam ból krzywd doznanych
I owe trzy mile drogi
W śnieżnej kurzwie
Za lata służby i zdrowie sterane.

Poszedłem w świat
Precz przedpędzony:
Cóż znaczy parobek,
Gdy mu pluca przeraża gruźlica?!
Dotąd obnoszę serce nieuspokojone,
Jak obnosiem dzieciństwo
Po zimowych ulicach.

Sporo lat upłynęło,
Nielatwych
I tylko pamięć spraw tamtych
Jest do was pomostem.
Obdzilił mnie ludzie
Chlebem i światłem,
Obdzilił mnie sercem —
Na człowieka wyrosłem.

I oto list do was piszę, gospodarzu...
Pamiętam — pod oknem
Każde wiosny rozkwiecał się bez:
Tam śladywałeś
Z „równymi sobie” pogwarzyć —
Tam się rodziła nienawiść moja
I gniew.

Sporo lat upłynęło:
Rok pięćdziesiąt trzy...
Wróciłem z pracy
I piszę ten wiersz:
Wiem
Za co historia naszych dni
Waszą klasę skazała na śmierć.

1953 r.



kać z odstawą, zwlekać jak najdłużej... W rozmowie wspominał parę razy o córce, że jej pora zamąż... Czereda wstrząsały dreszcze niepewności i rozterki, naprzemian nadziei, to znów niepokoju, jakby zabłądził na nieznanym drogach...
Ryske. Czereda pchnął drzwi i znalazł się w oświetlonym pokoju.
Gwar ucichł i wszystkie głowy zwróciły się ku wchodzącemu. Czereda jak przez mgłę dostrzegł zdumioną twarz przewodniczącego rady, sekretarza, paru innych. Patrzył w lewy kąt pokoju, gdzie za małym stołkiem, jak oskarżyciel publiczny, stał ze wznieśloną ręką jego zięć, sołtys Gojka. Naprzeciw niego stał dwaj dobrze mu znani — Feliks Ryske i jego krewniak Liszka.
— Wy do mnie, panie Czereda? — odezwał się przewodniczący, zaskoczony — to może byćście poczekali, aż my tu skończymy posiedzenie komisji...
Czereda zmieszany się nagle, cofnął się ku drzwiom. Ale Gojka wyskoczył zza stołu, nachylił się do przewodniczącego.
— Towarzyszu — powiedział wzburzonym głosem — niech Czereda zostanie. Jako świadek.
— Tu nie sąd — kwaśno rzucił Ryske. Jego ogorzała, tęga twarz była barwy ciemno-czerwonej. Stał zimny i pewny siebie. Za to jego krewniak drobnym, wątlwym człowieczkiem, nie mógł pohamować nerwowego drgania ramion. Składał i rozkładał dłoń.
— Spokojnie, obywatelu — przewodniczący zastukał ołówkiem w stół — porządek musi być. Obywatelu Czereda, sładajcie. To jest sprawa, można powiedzieć, gromadzka.
— Przystępujemy do sprawy, obywatelu — uciął sucho. — Do gminy wpłynęło podanie o ulgę w dostawach zboża obywatela Feliksa Ryske z gromady...
— O ulgę! — wykrzyknął Czereda, spojrzał się i cofnął zmieszany w kąt. Gojka rzucił mu ostre, triumfujące spojrzenie.
— Obywatel Ryske tłumaczy się niurodzajem na jego polach. Wypada na niego 4 tony 235 kilogramów zboża. Odstawił 720 kilogramów, więcej nie może, bo nie ma — tak tutaj podaje.
Z kąta, gdzie ukrył się Czereda, doleciał jakiś dźwięk, jakby przekleństwo. Ale dosłyszał je tylko Gojka.
— Oddaję głos sołtysowi gromadzkiemu, Michałowi Gojce — przewodniczący zaszleścił papierami. Gojce drgały brwi i nozdrza. Przez chwilę milcząc patrzył na obu; wielkiego brylowatego Ryske

robić... On nie ma zboża. Za to jego szwagier bogaty — głos Gojki nasykany gorączką — jego szwagier wczoraj był na rynku w Wejherowie i sprzedawał zboże. Niedrogo sprzedawał, ucziwie — wóz zboża w mig rozebrali...
— Jego zboże, ma prawo sprzedawać, czy nie? — krzyknął Ryske. W gardle mu coś bulgotało. Przewodniczący zastukał ołówkiem w stół. Drobnym człowieczkiem za plecami Feliksa Ryske zdawał się kurczyć i maleć.
— Ale, jego zboże. Z tego jednego hektara, co go u ciebie dzierżawi — huknął Gojka.
— Proszę o spokój, obywatelu — przerwał przewodniczący — głos ma obywatel Liszka.
Liszka rozrzucił bezradnie ręce.
— Czyje zboże sprzedawaliście wczoraj w Wejherowie — zapytał powoli przewodniczący.
Ryske popchnął lekko szwagra, aż się wyjął.
— Moje sprzedawałem, przecie.
— Czy wó? Z tego jednego hektara? Tak wam obrodziło? — sztydził Gojka. Przewodniczący znów uderzył w stół — tym razem pięścią.
Liszka milczał.
— Gadajże — krzyknął Ryske — czego się boisz? Wolność jest czy jej nie ma?
Liszka milczał. Działo się z nim coś dziwnego. Drobną, zastrachoną twarz kurczyła się, drgała, ręce spłatały i rozplatały.
— Odpowiadacie przed gromadą — surowo powiedział przewodniczący.
— Mnie odpowiedzcie. Takiemu samemu bogaczowi jak wy — wykrzyknął lekko Gojka.
Liszka skurczył się jeszcze bardziej. W nagłej ciszy padły jego wątlwe jakby, mizerne słowa:
— Sprzedawałem szwagra. Potrzebowałem pieniędzy na wesele.
Westchnął głęboko i stał — już spokojny.
— Łesz — syknął Ryske i przyskoczył do Liszki z pięściami.
— Wolnego — Gojka chwycił go za ramiona. Przewodniczący zerwał się, skoczył na nogi sekretarza.
— Obywatelu, dość tego Spokój. Ryske opuścił ręce, cofnął się. Szczęki mu chodziły.
— Na jakie wesele? — cicho zapytał Gojka. — Na jakie wesele? — powtórzył głośnie.
Liszka stropił się, znów zalekniony.
— No, na wesele. Córke wydaje za Samulewskiego z Wejherowa. Tego, co miał restaurację przy dworcu — wyjąkał.

TADEUSZ SZEWEERA

POCZĄTEK SPRAWY

(Fragment opowiadania)

O kna pokoju, w którym urzędował przewodniczący Jawor, wychodzili na nieduży plac. Dwoma półkami otaczały go domy Lyszkowa, rozzerwane wlotem traktu wiodącego do wioski Maziska.

Jawor urzędowanie rozpoczynał zazwyczaj od czytania „Dziennika”. Zaglebiał się w obitym pluzem fotelu, który zawędrował do gminy po parcelacji dworu, zapalał papierosa i czytał.

Rozpoczynał od sportu, potem przenosił się w gąszcz komunikatów PAP-u, żeby być zorientowanym w sytuacji międzynarodowej, następnie studiował ogłoszenia, pilnie śledził komunikaty o stanie pogody i wreszcie zaglądał do wnętrza gazety, gdzie czasem znajdował ciekawe dla siebie reportaże z terenu.

Tym razem odbyłoby się wszystko również według ustalonego porządku, gdyby nie brzuchate litery tytułu, który panoszył się na pierwszej stronie obok komunikatów PAP. Żeby być zorientowanym odczytał.

„Gdzie jest Gminna Rada z Lyszkowa?”

Jakby kto siłą wcisnął Jawora w pluszowy, podworski fotel. Chłop był niedużego wzrostu, ale teraz zmalał jeszcze bardziej. Zaczęli się mu porządkować włosy, jakby ktoś nieudolnym głosem — Lotry! — że rozległo się echem po całym budynku rady.

W drzwiach ukazała się wystraszona twarz sekretarza Podlaska.

— Czytaj! — wykrztusił Jawor. Sekretarz Podlasek bezszelestnie poruszył wargami.

— Głośno — ryknął Jawor. Sekretarz odchrząknął. — „Gminna Rada Narodowa w Lyszkowie, a szczególnie przewodniczący prezydium ob. Jawor, nie interesują się sprawami gminy. Na przykład, spółdzielnia produkcyjna w Maziskach przygotowuje manifestację odstawę zboża, do akcji tej włączają się chłopcy indywidualni. Ale GRN nic nie robi, by w tej akcji pomóc. Przeciwnie: utrudnia pracę przez tolerancyjny stosunek do bogaczy, takich jak Ograbek czy Byczkowski, którzy mimo zakończenia u siebie omłotów, do tej chwili jeszcze zboża nie ostawili!”

Podlasek zrobił znaczącą przerywkę, a potem z lekkim odcieniem zadowolenia w głosie przeczytał podpis — Sołtys gromady Maziska, Szymon Pilarz.

Jawor pienieł się. Wskoczył z fotela i biegł po pokoju.

— Lotry! — wymachiwał rękami. Podlasek wzdął się z oczyma, w których malowała się bezradność.

— Czego się gapisz! — zachrypiał Jawor, przystając przed nim. Mo-

toczył. Dawaj mi natychmiast motocykl.

Przez Maziska Jawor jechał wolno, obmyślał plan działania. Widać przyszło mu coś do głowy, bo przed domem Wojciecha Osina zatrzymał się. Osin wyprzegł konia, wrócił dopiero co ze Skierniewic. Był z Magdą, swoją żoną, na jarmarku.

— Ładna klacz. Dobrze ją trzymacie — powiedział Jawor i zerknął ku otwartej stodole. Na klepisku leżało kilka snopków.

— Będziecie młócić? — dorzucił.

— Maszyny wam nie da! — powiedział domyślnie Jawor. Skórzaną cyklistówkę zsunął na tył głowy.

— Ze spółdzielcy, to już samodzielnych gospodarzy nie widzą.

— Chcę dać nawet. Ale dzisiaj młóć u siebie. Odstawy na karku.

— Wy na chleb, czy odstawę? — Ano, chciałoby się oddać jak najprędzej — odparł Osin.

— Ja tu właśnie po tej linii, do was — uśmiechnął się Jawor. — Najwyższa pora by wam już była!

— Przecież się nie opieram jak Ograbek! — z oburzeniem mruknął Osin. Jawor zbył tę uwagę milczeniem, natomiast niby obojętnie spytał:

— Nie spieszo wam do spółdzielni?

— Drapiąc się po kudłatym łbie. Osin niechętnie odpowiedział.

— Ano, gospodarka niebrzydka. To i po co się spieszyć. Dopiero rok gospodarzą. Trudno się zorientować, czy to lepiej, czy gorzej.

Osin nie miał wiele ziemi, zaledwie osiem morgów, ale z tej ziemi starał się wydobyc wszystko. Obejście też utrzymywał w wzorowym porządku. Było czyste, zamiecione, gnojownik obłożony pobielonymi kamieniami. Strzecha na chalupie starannie polatana, obórka utkana mchem, chlew zbity z mocnych desek.

— Niebrzydka! — potwierdził Jawor i naraz spytał: — Czytaliście dzisiaj gazetę? Sołtys natłuje na mnie! Władzie, że jedzą od wsi do wsi, od chałupy do chałupy, namawiam ludzi, żeby odstawali zboże, a taki lotr pisze, że nie nie robię!

Osin milcząco pokręcił głową. Jawor poufałe wziął go pod ramię i szepnął:

— Pilarz pisze, że z bogaczami trzymam. A ja mu pokażę, jak ja popieram kulaków. Jutro obaj, Ograbek i Byczkowski, odwieżą zboże na punkt skupu. Namówiłem ich o-

sobiście, cholera trafi sołtysa, jak to zobaczy! — zaśmiał się. — A co wy na to?

— Co ja wiem — mruknął niechętnie Osin.

— Wiecie, Osin. Dużo wiecie! Moglibyście tak napisać do gazety, że GRN organizuje odstawy, że troszczy się o chłopca... Was szanują w Maziskach, zebrałbyście innych chłopów i tak razem napisali...

— Ja tam nie wiem — wykręcał się Osin. — Ja się nie nadaję.

Jawor nacisnął czapkę, założył ochronne okulary. Był znowu zły.

— To znaczy, że i wy też jesteście wrogo ustosunkowani do władzy ludowej. Wszyscy wy tu jednci!

— Krzyknął. Szybkiem krokiem przeszedł przez podwórko. Osin podpretał za nim do furtki.

Wieczorem zajął do Osina sołtys Pilarz. Zastał go jeszcze przy młóce. Klepisko stodoly oświetlała stajenna lampa, kołysząca się u wrotów. Osin gniewnie spojrzął na sołtysa, rekawem koszuli przetarł spoczną twarz.

— Znowu przyszedł namawiać do tej waszej wspólnoty! — warknął nieprzyjaźnie.

— Co wam? — zdziwił się Pilarz. — Będziecie mieli ochotę, przyjdziecie. Do spółdzielni nikt nikogo siłą nie ciągnie! Sołtys umilkł i zaczął parnąć trochę zmiotków. Przesypywał je z dłoni na dłoń i wydmuchiwał plewy.

— Ładne ziarno — pochwalił. Osin ożywił się.

— Ano, co roku idzie na lepsze. Wyszedł przed wrotami i zapalił papierosa. Pilarz spytał:

— Byliście na targu w Skierniewicach?

— Sprzedało się tucznika i grosza trochę wpadło. Większą wagę miał wieprzak niż myślałem. To i kupiła sobie kobieta cośkolwiek do kuchni. Magdzie nigdy garnków nie jest za dużo! — zaśmiał się zadowolony.

— Lżej wam teraz?

— Nie powiem marnego słowa — z przekonaniem odpowiedział Osin. — Zawsze to pewny grosz w gospodarstwie, jak człowiek podpisze kontrakt.

— W Korei już pokój — rzekł Pilarz zaciągając się dymem.

— Słyszalem — odparł Osin.

— To myśnij, Wojciechu, że z tej okazji odwieziemy zboża na skup. Manifestacyjnie. Razem, całą wioską. Jutro o dziesiątej. Omólcieście na tyle, żeby z nami pojechać?

— Nie byłoby to brzydko — z namysłem powiedział Osin.

Było dość wcześnie, gdy wesole okrzyki wywabiały Osina z chałupy. Wyszedł z Magdą do plotu i prawie oczom nie wierzył. Przez wieś jechały dwa wozy. Ogumione koła sunęły bezszelestnie po drodze. Na pierwszym wozie siedział okrzakiem Byczkowski, na drugim rozpiętał się Ograbek. Z wozów wystawały pełne wory. Obaj chłopcy strzelali zachowawczo z batów i wykrzykiwali.

— Na skup jedziemy obywateli! Na skup! Niech żyje Polska Ludowa!

Kiedy przejeżdżał obok domu Osina, Ograbek przechylił się i krzyknął.

— A wy, Osinie, nie jedziecie? Samodzielni gospodarze przedzie się biczyskami, w stronę domów spóuwijają, od tamtych! — wskazał dziełców.

Osin wzruszył ramionami, a Ograbek zaśmiał się i podciął konie. Dwa rosłe walauchy przyspieszyły kroku. Wozy wyjechały rycho na trakt wiodący do Lyszkowa. Było trochę z górki, więc konie szły rażno. Obaj chłopcy jechali jeszcze kilometr, potem przystanęli. Droga była pusta, lekkie wzniesienie ukryło Maziska. Nikt we wsi nie widział, jak Ograbek z Byczkowskim wydosłali spod worków kilka snopów słomy. Worki, wyładowane ziarnem, opadły na dno wozów i zniknęły pod słomą rozpostartą na wierzchu. Wozy ruszyły dalej. Konie szły truchcikiem klaskając kopytami o ubity trakt.

Około dziesiątej, sprzed świetlicy, wyruszył barwny korowód. Na pierwszym wozie, pod transparentem z napisem „Chłopi Pracujący Spółdzielni i Wsi Maziska Odstawiają Zboże Przed Terminem”, usadowili się muzykanci. Na następnych wozach spiewano piosenki. Jakich piskliwych głosów zawodził.

Skoszone już żyto, pszeniczka skoszona,

Na głowie Kasieńki złoścista korona,

Złoścista korona z pszeniczki i żyta...

Osin jechał przedostatni. Powoziła Magda. Uparła się jechać. Ubrana była odświętnie, na głowie miała kwiecistą chustkę, kupioną wczoraj w Skierniewicach. Osin usiadł tyłem do konia i gwarzył z sołtysiem Pilarzem, który przysiadł się na jego wóz. Był w dobrym nastroju, zaciągał się z lubością dymem papierosa i opowiadał Pilarzowi o wczorajszej wizycie Jawora.

— Ale ci jucha sprytny. Chętał mnie podbechtać przeciwko wam. Ślepa mu tylko błyskały!

Tadeusz Szeweera

TADEUSZ PAPIER

WESELE U ZGORZELAKÓW

(FRAGMENT POWIEŚCI)

WESELE Kryski Zgorzelakówny odbyło się na początku kwietnia.

Wysoka, chuda Zgorzelakowa wychodziła z kuchni i przynosiła to kapuste, to jakieś mięso, to kawały placka. Twarz gospodyni nie wyrażała zbyt wielkiej radości. Na wąskich ustach osiadł niewyraźny uśmiezek: nie zadowolenia, ni żalności. Zgorzelakowa pokłoniła się z mężem. Nie chciała wyprawiać hucznego wesela. Powiadała, że lepiej dać młodym to, co goście przejdą. Ale Zgorzelak uparł się. Wydawał najmłodszą córkę i nie dbał o nic.

„Ostatnie wesele!” — mówił.

W izbie huczało. Tu i tam śpiewano. Wąsaty Jakub Koselarz, który dwa lata temu ożenił syna Ignacego ze starszą córką Zgorzelaka, Katarzyną, huczał basem na cały dom, ilekroć zauważył szczupłą postać panny młodej:

„Oj, a porachuj, Krysienu, dziureczki w przetaku, Oj, a tyle będziesz miała pierwszej nocki strachu!”

Kobiety pisały z uciechy, a stary Jakub wymyślał coraz to nowe dwuwiersze.

— Ale zbierzni! — Nie byłby Koselarzem! — U nich od kołyski śpiewają... — A synów ma już innych... Mruki...

— Ładne wesele! — mruknął Jakub. — Nawet Katarzynie takiego nie wyprawili...

Zabrzmiało to jak wymówka. Rzeczywiście tamto wesele było dużo skromniejsze.

— E... e... — zmieształ się Zgorzelak. — Tamto, widzisz, było zaraz po wojnie... Gospodarka zniszczona...

— Prawde mówicie! — rzuciła Frąckowa. — Czas był inny, to i wesele inne...

— Na czas będziecie narzekać? — krzyknął Bożkowski. Miał już mocno w głowie. Na twarz wystąpiły czerwone cętki. Oparł się o poręcz krzesła, głowę przechylił na bok jakby odczytywał coś na suficie i bębnił palcami po stole.

— Przed wojną był czas jeszcze gorszy, a jakie wesele! Ho! ho! Nie, Zgorzelaku?

— E... co tam!

— Ludzie umieli się bawić — belkotał Bożkowski. Wstał i potoczył okiem po izbie. — Co to za wesele bez bitki!

— A jakże! — potwierdził chudy, deskowaty Mięta. — Inaczej wesele było dawniej...

— Pamiętacie, Zgorzelaku, wasze

wesele? No! He! he! Co to Mięta wtedy nie nawyrabiał! Albo Czapl... Jak przyszli do was te z Kuchar, Cygany, czy jak im tam było...

— Cygany! — potwierdził Mięta, wpijając mętne oczy w Bożkowskiego.

— A tak, Cygany! Jedziesz z jarmarku, czy na jarmark, patrzysz, Cygany jadą. Trzeba wóz kierować na bok, bo inaczej źle z tobą...

— A jakże! Pamiętacie, jak to wywalił starego Cieśle?... Zgondek pochylili się nad stołem i mówili:

„Te Cygany, jak przyszły, wszystko umilkło. A starszy, taki czarny, wziął się tylko pod boki i krzyknął do muzykantów: „Nasze-go!” Podszedł do Marcysi Miętówny, do której zachodził wtedy Czapl, do której złał ją w pół. „Dopiero będzie, jak zobaczy to Czapl, awantura gotowa!” I tak było, ktoś dał znać Czapl. Ten niby nie duży i nie taki gruby jak dzisiaj, ale silny, przyleciał i wiele się nie namyślał, wyrwał blachę z kuchni i z tą blachą na Cyganów...

— O jej! — pisnęła Frąckowa.

— He! he! — zaśmiał się Mięta.

— A Czapl dzisiaj nie ma?

— Prosiłem go, ale...

— Nie przyszedł, obejdzie się bez niego! — mruknął Jakub.

Katarzyną, rozochoconą tańcami, muzyką, weselem, poczęła śpiewać:

„Musiałas, Krysienu, rozogonź smykać,

„Przez las, przez porębę, Kocholem i będe, Komu będzie zazdrość, Będę kochoł na złość!”

— A to szkaradnik! — rzuciła się na niego Zgorzelakowa. — Patrzcie, jaki latawiec!

Bożkowski zatkał pięściami usta i śmiał się jak szalony. Starszy przyznał się szczególnie, zanucił basem ulubioną piosenkę „Płynię, płynię Oko...” Dziewczęta poczęły mu pomagać i wkrótce pieśń zagłuszyła inne przyspiewki i rozmowy. Potem nastąpiła chwila przerwy.

Z drugiego stołu słycać było, jak stary Jakub oświadczał się Kryscie, przedrzeźniając jednocześnie pana młodego, i rozlegał się dzwigny śmiech kobiet. Brewinski opowiadał o rychłym przyjeździe na wieś komisji melioracyjnej, która ma zająć się uregulowaniem rzeki oraz

Bo na twoim weselu muzyki nie słycać...

— Nie słycać! — poczęto wołać ze śmiechem.

Pan młody jednym skokiem dopadł do okna, rozwarł je na oścież. Do izby wdarły się szeroka fala dźwięki oberka. Zdawalo się, że sąsiedni dom Kality, pęka od nadmiaru muzyki, śpiewu i okrzyków.

— A to co? — zawołał pan młody. — Mało wam jeszcze muzyki.

Zgorzelak wysunął się nieco do przodu i zadzierając głowę do góry zanucił wysokim tonem:

odwodnieniem łąk i pól. Ta sprawa zainteresowała na dłuższą chwilę wszystkich. Jedynie Bożkowski mruknął coś w rodzaju „nie było nas, był las...”

Kryśka zdążyła już zrzucić z siebie biały, ślubny strój i miała teraz na sobie luźną, zielonkawą bluzkę, zapinaną tylko u góry broszką w kształcie podkowi, oraz spódnice, podobną do tej, jaką nosiła Katarzyna. Była uderzająco podobna do swojej starszej siostry. Nos tylko miała więcej zadarty, podobnie jak ojciec. Małe, czerwone usta były bezustannie w ruchu. Opowiadała z ożywieniem o niedawnych czepinach.

Pan młody, sztywny trochę, z urazą w głosie zapytał Jakuba, dlaczego nie przyszedł na wesele jego drugi syn, Szymon. Staremu pośpieszył z pomocą Ignacy, oświadczaając, że Szymon musiał iść do teścia, bo ten zachorował.

— O wa! — syknęła Frąckowa. — Bał się pewnie stracić. Teś nie przyszedł, to i on zastrajkował. Stary kogut pieje, a młody go nasładuje...

— Hil hi! — zaśmiał się Bożkowski.

— O! Maćkowski, to drugi Czapl. Szymon niedobrze popadł — pożałowała Koselarka Katarzyna.

— Co wy mówicie! Nieobrze? Tam tyle bogactwa! — wywała się z kąta Ludwickowa, która została się, aby pomóc gospodyni przy kuchni.

— Teś wszystko dusi! — mruknął Jakub.

— Podobno Szymon ma się przenieść do Maćkowskiego. Co zrobicie z chałupą?

— Szymon wam kłopotu nabawi! Zobaczycie! — jęczył chytrze Bożkowski.

— Wyście z Maćkowskim kumoter, to poratujecie — odcięła jasnym, dzwignym głosem Katarzyna.

— O wa! Jaka ostra! A i tak wstyd! Szymon pogardził swoją rodziną! — nacierał z uporem Bożkowski.

— Co tam będziecie wspominać! Nie mógł, to i nie przyszedł! — uspokajał łagodnie tysi Zgorzelak.

— Matka podaj no starym jaki talerz!

Zmierzało się na dobre. Za oknem, na drzewach, krzakach, polach, osiadał gęsty mrok. Wysoko po niebie przelatowały kłębiaste chmury, rozświetlone słabym blaskiem księżyca. Zza rzeki rozniósł się krakanie wron i uciuchło nagle, ustępując miejsca muzyce i śpiewom.

Tadeusz Papier



„Wesele kurpowskie”. Rysunek ludowego artysty Konstantego Lenkiewicza ze wsi Długi Kąt, pow. Ostrołęka

GUSTAW MORCINEK

Z NOTATNIKA POSŁA

Piękna i szlachetna jest funkcja społeczną posła w dzisiejszej Polsce. Obywatele garną się do niego z całkowitym zaufaniem, że jeżeli nikt nie pomoże, to posel pomoże.

Przychodzi macocha i pokazuje mi fotografię małej dziewczynki.

— Widzicie, obywatelu, to jest Zośka. Ja jestem jej... macochą...

— No, i co z tego? — Umrze, biedulka, a mnie jest jej strasznie żal.

— A dlaczego ma umrzeć? — Bo nam krowy wyzdychały, Pryszczycza je napadła i wszystkie zdychy. Słowem: ruina; i chyba wypadnie pojeść po zebranych chlebie.

— Ale co ma wspólnego grożąca Zośce śmierć z przyszczą wśród waszych krow? — Bo to jest tak. Zośka ma gruźlicę. Znajduje się na leczeniu w sanatorium dla dzieci. Mamy płacić za nią dziennie około 20 złotych. A my nie mamy. Jeżeli ją więc weźmę do domu, to mi umrze!.. Ratujcie ją, drogi poselku!..

— A macie jakie zaświadczenie? — Mam! Oto zaświadczenie Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, że nam krowy wyzdychały, a oto zaświadczenie lekarskie, że jest starsza siostrzyczka, Renia, także moja pasierbica, jest również zagrożona gruźlicą... A oto jeszcze zaświadczenie z Prezydium Miejskiej Rady, że z nami bieda...

Dotychczas pojęcie macochy kojarzyło się zawsze z pojęciem jakiegoś człowieka nieużytego, twardego, złośliwego, znęcającego się nad sierotkami. Macocha weszła do literatury, a przede wszystkim do bajek, jako typ baby złej, okrutnej i mściwej. A tu naraz macocha płacze, że jej pasierbica może umrzeć, a „to takie strasznie kochane dziecko”...

Posel idzie do macochy, przekonuje się, że to wszystko prawda, przekonuje się przede wszystkim, że macocha ma wspaniałe, ludzkie serce i zaczyna robić larum. „Jeżeli już nie możecie, drodzy panowie z Centralnej Poradni Przeciwi-gruźliczej odpowiedzieć na dwa listy i prosby macochy, wysłane do was przed dwoma miesiącami, to odpowiedź przynajmniej na mój list, a przede wszystkim uwzględnienie jej prośbę.

Nie wiem, czy mój apel coś poskutkuje. Jeżeli trafi na tepego biurokrata, ten zastąpi się jakimś pokrewnym paragrafem i będzie miał czyste sumienie. Przynajmniej przyspuszcza, że będzie miał czyste sumienie. W rzeczywistości bowiem sumienie jego będzie obciążone tragedią dziecka.

Gromada przedkłada skargę, że młynówka wylewa, że droga zła, że to najgorsza droga w całym powiecie, że za mało węgla przydziałowego. Mówi jeden, mówi drugi, trzeci się zapala, czwarty przyzybia poza Katona rozzdzierającego szaty, piąty przemienia się w księdza Skarę z obrazu Matejki, a szósty obiecuje, że się „pięścią przobudzę” z rozpaczy.

Zanim jednak posel przystępuje do notowania skarg, sołtys prosi go o pozwolenie wyjaśnienia drobnych rzeczy. Te „drobne rzeczy” urastają do wielkich rzeczy.

— Powiadacie — tłumaczy łagodnie sołtys — że młynówka wylewa. Ja wam coś powiem. Sprawa młynówki już była załatwiona. Była Komisja melioracyjna i orzekła, że młynówka będzie uregulowana, lecz najpierw musicie poscinać drzewa, rosnące na brzegu i nie wykaraczać. Wy tak uczyniście. To znaczy, poscinałście swoje drzewa, do czego mieliście prawo, lecz pni nikt z was nie wykaraczał. To chcecie, żeby to ktoś za was zrobił? Pocóż więc zawracacie obywatelowi postawę głowę młynówką, kiedy tu jest wasza wina!..

— Powiadacie — ciągnął dalej — że wasza gminna droga jest najgorszą drogą w całym powiecie. I słusznie. Gorszej drogi nie ma już chyba w całej Polsce. Ale przypominać sobie, że dnia tego z tego — tu wyciągnął notes i szukał daty — zwołałem notes i szukał daty — zwołałem notes i szukał daty — w którym wam oświadczyłem, że za staraniem prezydium gminnej rady narodowej uzyskamy 100 wagonów szlaki z dyrekcji kolejowej w Stalimogrodzie. Wówczas zobowiązaliście się szlakę tę zwieźć ze stacji i wysypać nią drogę. I byłaby droga aż uciecha. Ustaliłiście wtedy, że o dziesięć nadejdą dwa wagony szlaki. W końcu przyszły dwa pierwsze wagony. Wtedy ja i mój zastępca przewędrowaliśmy całą gromadę, prosząc o jej zwolnienie. Nikt nie miał czasu. Tylko dwóch obywateli namówiłem, żeby przynajmniej wyładowali owe dwa wagony, gdyż musieliśmy płacić tak zwane postojowe. Przyszli i wyładowali od godziny ósmej rano do szesnastej. Wyładowali tylko jeden wagon. Zabrali się i poszli do domu. Drugi wagon wyładowali sami kolejarze. Ponieważ zaś nie było nikogo, kto by ją zwiózł na drogę, szlak do dziś dnia leży na stacji, ja zaś wstrzymałem dalszą jej wysyłkę, bo nie miałby jej kto zwieźć. I pocóż tu zawracacie głowę obywatelowi postowi, że domagacie się naprawy drogi, jeżeli sami jesteście temu winni, iż jest najgorszą drogą w powiecie!..

Tak to bywa... (Dokończenie na str. 5)

remu brakuje tylko aureoli nad tym słońcem, by uchodził za świętego Biurokracę. — A dlaczego ma to być sabotaż, he?... kończy groźnym pytaniem.

I jak tu wytłumaczyć takiemu świętemu Biurokracemu, że chłopci klną jak pijani szewcy, że wymyślają na ponurą biurokrację.

Ja bym też kłął!

— Bo mi chłopca zamknięto w kryminalu!

— A dlaczego? Za co?

— Za nie! Ludzka złość to wszystko zrobiła!

— A co zrobiła ludzka złość?

— Było ich trzech — zaczyna baba o gbie rzeźmieszka. — Tamci dwaj koleżki i mój chłop. No, i była kradzież w sklepie Samopomocy Chłopskiej, który ci trzej prowadzili. No, i wszystkich trzech zamknięto. Teraz siedzą. Mój chłop też.

— A on nic nie ukradł?

— Tamci dwaj wzięli zabrali... — odpowiada baba wymijająco

TADEUSZ SIEROCKI

DWIE ROCZNICE

Trzydzieści pięć lat temu, 16 grudnia 1918 r. w Warszawie przy ul. Zielnej 25, na wspólnym zjeździe SDKP i L i PPS-Lewicy, na skutek połączenia tych dwóch partii, powstała Komunistyczna Partia Robotnicza Polski przemianowana w 1925 roku na Komunistyczną Partię Polską.

Jako partia marksistowska, KPP od pierwszej chwili swego istnienia wysunęła na czoło swych zadań walkę o obalenie kapitalizmu i ustanowienie dyktatury proletariatu.

chłopską. Oparając się na leninowskich wskazaniach II Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej, Zjazd KPP zaprobował tezy agrarne wraz z uchwałą i odezwą o sojuszu robotniczo-chłopskim.

„W walce z obszarnictwem, w obronie mas chłopskich zdradzo-nych przez rząd Witosa — czytamy w uchwałach — Partia wysuwa naczelną hasło: „Ziemia dla chłopów”. Żadamy wywłaszczenia wszystkich folwarków bez wykupu i oddania ich do rozprządania ko-

Dochodzi też do słynnych wypadków w powiecie leskim, w czasie których policja zabija i rani kilkunastu chłopów.

Jeszcze ostrzejsze formy, przybrały walki latem 1933 r.; brało w nich udział około 100.000 chłopów.

KPP rozumiała dobrze, że sprawa wciągnięcia do rewolucyjnego ruchu sojusznika — szerokich mas chłopstwa — jest sprawą decydującą dla dalszej zwycięskiej walki o rządy dyktatury proletariatu.

Dlatego też komuniści biorą czynny udział w walkach chłopskich, organizując je i kierując nimi.



rys. M. Kościelniak

KPP w toku walki z rządami burżuazji stopniowo przezwyciężała błędne koncepcje, przyswajając sobie coraz bardziej oświecone doświadczenia KPZR: leninowską teorię rewolucji socjalistycznej, leninowską naukę o kwestii chłopskiej i narodowej.

Rok 1923 głęboko wrył się w pamięć mas pracujących Polski. Rząd Chjeno-Piasta przystępuje do likwidacji wywłaszczonych w latach poprzednich praw klasy robotniczej i chłopstwa pracującego. W tym samym czasie wzrasta gwałtownie drożyzna. Szaleje inflacja. Coraz bardziej pogłębia się kryzys wewnętrzny.

W odpowiedzi na ataki kapitalistów i obszarników kraj zalewa fala strajków. Strajkują włókniarze, metalowcy w Łodzi, Warszawa, Śląsku, Poznaniu, Krakowie.

Również sytuacja na wsi ulega zastrzeżeniu. Setki tysięcy chłopów odczuwa dotkliwy głód ziemi. Przełudnienie wsi polskiej jest najwyższe w Europie. Szczególnie napięta była sytuacja na ziemiach wschodnich, gdzie ucisk klasowy łączył się z uciskiem narodowym. W związku z tym, na okupowanych terenach walka z uciskiem i wyzyskiem imperializmu polskiego przybiera niekiedy charakter powstania. Sytuację tę tak opisuje endeck Grabski w „Kurierze Warszawskim”: „Nie ma już chwili do stracenia. Jeżeli natychmiast ludność kresowa nie poczuje żelaznej ręki... Kresy staną się rozsądnym zarazy. „Siedzimy na bezce prochu” — pisze do mnie jeden z przyjaciół a drugi odpowiada: „Cały folwark zamieniony w fortecę. Straże, dzwonki sygnały... „Podzielić ziemię” albo — „niech żyje Lenin!” — oto ich hasła”.

W dniach, gdy krajem targnęła fala strajków, fala wrzenia rewolucyjnego, obradował II Zjazd Komunistycznej Partii Polskiej; miał on niezwykle ważne znaczenie dla dalszej walki polskiego ludu. Jako jedno z naczynnych zadań staje przed partią sprawa hegemonii proletariatu. „...Rewolucyjny proletariatu polski musi wystąpić na arenę wypadków dziejowych... jako wódz i rzecznik interesów całego narodu” czytamy w uchwałach II Zjazdu.

Zjazd jako jedną z najważniejszych kwestii postawił sprawę

międzyrolnych wybranych przez „ogół chłopów i robotników z wyjątkiem bogaczy wiejskich”.

Uchwały zjazdu wskazywały na konieczność podziału ziemi obszarniczej, dając jednocześnie socjalistyczną perspektywę rozwoju wsi polskiej. Podobnie jak Partia nasza obecnie, tak KPP w 1923 r. wskazywała że socjalistyczna przebudowa wsi nastąpić powinna na zasadzie dobrowolnego zespolenia gospodarstw chłopskich, w oparciu o pomoc klasy robotniczej i państwa.

„Droga do socjalistycznej gospodarki, prowadzić będzie nie przez przymusowe wywłaszczenie „szerokich” rzesz chłopskich ani przez politykę doprowadzającą ich gospodarstwa do upadku, ale przez unaożnienie im dobrodziejstw zrzeszonej pracy”.

Po zjeździe Partia przechodzi do ofensywy na wsi. Powstają masowe i rewolucyjne, kierowane przez KPP organizacje chłopskie, jak: Niezależna Partia Chłopska, białoruska „Hromada”, ukraiński „Selrob”. Wzrasta fala ruchu narodowo-wyzwoleńczego na Zachodniej Ukrainie i Białorusi. Wiek staje się coraz bardziej niespokojny. Coraz bardziej docierają do mas chłopskich żądania KPP: „Ziemia dla chłopów”!

Niebawo terror rządów pułkownikowskich po przewrocie majowym nie potrafił zdusić rewolucyjnej walki klasy robotniczej i jej Partii. Nie rozbiła jej również dywersyjna rola PPS. Wpływy KPP stale wzrastają. W 1928 r. zdobywa ona w wyborach do sejmiku około miliona głosów. Rozszerza się zakres jej działalności. Członkowie Partii stają na czele wielkich walk strajkowych, uzyskując pełne zaufanie robotników.

W latach ostrego kryzysu gospodarczego Partia organizuje masy pracujące do walki. I znów strajki powszechne rozlewają się po całym kraju. Zagłębie, Łódź, Warszawa, Kraków — to tylko większe ogniska tej walki.

Za przykładem robotników szli do walki chłopci. Głośnym echem w kraju odbiły się masowe wystąpienia chłopskie w roku 1932 w powiecie limanowskim i krośnieńskim.

Dojście Hitlera do władzy w 1934 r. uzyskało pełne poparcie sanacyjnych rządów. Burżuazyjna Polska uzyskała tego sojusznika. Faszyzacja życia w kraju następuje teraz w przyspieszonym tempie. Wprowadzane są sądy doraźne, ustawy o zgromadzeniach i zebraniach i inne ograniczające podstawowe swobody obywatelskie. Sanacja na wzór hitlerowskich obozów koncentracyjnych, tworzy słynną Berezę Kartuską. Ukoronowaniem tych poczynań było wprowadzenie w 1935 roku nowej konstytucji faszystowskiej.

Masy pracujące z KPP na czele podejmują w odpowiedzi szereg strajków o wybitnie politycznym charakterze. W ogniu walk strajkowych dochodzi do jednolitego frontu między komunistami i robotnikami. Pepeesowcami, nie dającymi wódz się na pasku zdradzieckiej „góry”. W całym kraju rozleża się hasło: „chleba, wolności, pokoju!”. Jednolity front ludowy organizowany przez KPP ogarnia coraz szersze warstwy narodu.

Komuniści polscy organizują skutecznie masy chłopskie do walki z uciskiem sanacyjnym. W związku ze strajkami chłopskimi w 1937 r. KPP przygotowuje wśród robotników akcję solidarnościową z walczącymi chłopami.

Zbliżał się rok 1939, rok klęski burżuazyjnego państwa polskiego. Mimo ostrzeżeń ze strony Związku Radzieckiego przed nieuchronnie zbliżającą się wojną, burżuazja polska, głucha na propozycje zawarcia



układów przeciwko Hitlerowi, ciągnęła naród w przepaść.

Ciężkie lata okupacji hitlerowskiej nie złamały narodu polskiego, nie zdusiły walki o wyzwolenie narodowe i społeczne. W walce tej przewodziła związana nierozdzielnie z masami pracującymi Polska Partia Robotnicza. Ona to rzuciła hasło walki zbrojnej z okupantem, przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, obalenia burżuazji i obszarnictwa, oddania chłopom ziemi bez wykupu, unarodowienia wielkiego przemysłu, zapewnienia wszystkim pracy. Kontynuując politykę Komunistycznej Partii Polski, PRR skupiała wokół siebie masy pracujące do walki o wolną i niepodległą Polskę.

Dalekowzroczność polityki PPR uwidoczniła się w dniu, gdy na ziemi polskiej wkroczył żołnierz Armii Radzieckiej niosąc wolność ukiskanym narodom. Polska wkroczyła w nowy etap swego rozwoju. Urzeczywistnione zostało to, o co przez długie lata walczyła KPP. W Polsce władzę wzięła w swe ręce klasa robotnicza, robotnicy otrzymali na własność zakłady pracy, chłopci — ziemię.

W trzydziestą rocznicę powstania Komunistycznej Partii Polski, w 1948 roku odbył się historyczny Kongres Jedności Klasy Robotniczej. W wolnym od ucisku kapitalistycznego kraju, dnia trwania Kongresu były dniami wielkiego święta i radości.

Kongres Zjednoczeniowy z jednej strony podsumował dorobek bohaterów walk i doświadczeń klasy robotniczej, zlikwidował długoletnie rozbieżności w łonie ruchu robotniczego nakreślił drogę rozwojową Polski do socjalizmu; z drugiej strony — był w. d. c. m. świadectwem zwycięstwa marksizmu-leninizmu w walce z wrogimi wpływami ideologii burżuazyjnej.

Patrząc z perspektywy pięciu lat na drogę, jaką przebył nasz naród, z dumą stwierdzamy, że pod kierownictwem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Polska przestała być krajem biednym i zacofanym. Kraj nasz może się dzisiaj chlubić wielkim nowoczesnym, socjalistycznym przemysłem o stale wzrastającej kulturze rolnej wsi.

Poważne sukcesy w przemyśle w kraju pozwoliły nam na szybsze zaspokojenie potrzeb ludności, na przeprowadzenie obniżki cen, która przyniosła milionom ludzi pracy kilka miliardów złotych oszczędności. Partia walczy o to, aby z każdym miesiącem ludność Polski miała więcej wszelkich towarów i artykułów żywnościowych. Powodzenie tej walki w dużej mierze zależy od podniesienia na wyższy poziom gospodarki rolnej, która wciąż jeszcze nie nadążyła za przemysłem. Wielkie zadania, jakie sta-

wiają przed naszym rolnictwem tezy IX Plenum przed II Zjazdem Partii, wymagają dużego wysiłku mas pracujących chłopstwa.

Sukcesy ubiegłych pięciu lat zwycięskiego marszu do socjalizmu osiągnięliśmy dzięki wielkiej pomocy materialnej i kulturalnej Związku Radzieckiego, którego pokojowe budownictwo jest dla nas wzorem i przykładem. Patrząc na nasze osiągnięcia, na wzrastający dobrobyt mas pracujących, musimy sobie jasno zdać sprawę, że są one rezultatem nieugiętej walki, jaką w latach przedwojennych toczyła KPP, w czasie okupacji i po wojnie — PPR, a obecnie — Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

Tadeusz Sierocki

ŚWIATŁA WIELKIEJ PRZYJAŹNI

(Dokończenie ze str. 1)

mieszkalną część, bo stać ich było na 800-złoty(!) czynsz miesięczny.

Pałac jest nasz. Będą się w nim odbywały n a s z e zjazdy, uroczystości, kongresy. Tu będą koncertować n a s i artyści, tu pracować będą n a s i naukowcy, tu przychodzić będzie po sport, rozrywkę i radość n a s z a młodzież.

Tak właśnie, jak w pięknym wierszu Adama Wazyka:

Nie nasze były mury
naszej architektury,
krewią zlepięne pałace,
te ubogie prace,
gotyk naszego trudu,
renesans dzieła ludu,
panom stawiany barok,
pokraczny dom czynszowy,
kupieckiej demokracji
i obliczany na rok
dom — widmo spekulacji,
i styl wasz nieczłowieczy,
z niezdarzonej przygody,
bez serca i urody...

A inaczej ze zwalisk
rośnie, by wrócić w socjalizm,
dla świetlic i bibliotek —
nasz staromiejski gotyk,
nasz renesans i barok,
nasz monument surowy,
nasz fronton koronkowy,
jak spod igły hafciarek,
inaczej nad nim błyska
dachówka sercu bliska...

IV.

Trudno rozmawiać z ludźmi Pałacu. Nie dlatego bynajmniej, aby okazywali się oni szorstcy czy nieprzyjemni, by nie chcieli mówić o sobie, o swojej pracy, o swoim życiu i o jego „drogach, które ich tu, na te budowę przywiodły. Trudno — bo wre tutaj ogromna praca. Trudno bo ledwie minęła rocznica Rewolucji, a z nią gorączkowy rozmach i tempo pamiętnych dni, w które dźwignięto iglicę na szczyt Pałacu — a już ruszyła fala zobowiązań z okazji II Zjazdu Partii.

Warszawa. Daleko od południowego wschodu ciemnieją gręgi i płamy lasów, Wisła prezentuje w całej okazałości kapryśne skręty swego biegu, tu i ówdzie ponad zwartą masę szarych, brunatnych i czerwonych dachów strzela kościelna wieża lub komin fabryczny. Różowymi lub kremowo-białymi płamami odcinają się z dala bloki nowych osiedli mieszkalnych. Jesteśmy na dwudziestym piątym piętrze, do szczytu Pałacu jest za daleko, a okrzyczany niedgdy „drapacz”, który wybudowało amerykańskie towarzystwo ubezpieczeń „Prudential” — ma zaledwie pięćdziesiąt pięć pięter.

Przypaźnikowo napotkany robotnik rzuca okiem w dół i odgaduje, że mierzymy wzrokiem odległość, jaka nas dzieli od dachu „Prudentialu”.

— E, gdzie mu tam do naszego pałacu — mówi lekceważąco, ruszając śpiesznym marszem w górę i ginie wśród schodów, wiodących na piętro dwudzieste szóste, dwudzieste siódme — i jeszcze, i jeszcze wyżej...

...W notesie pojawiają się gryzonołone pospieszenie urywki rozmów i nazwiska, z którymi kojarzy się później wśród wspomnień czyjaś usmiechnięta w przelocie twarz. Słowa: „O, byłoby o czym gadać, tylko roboty huk!”. Zaaferowany wygląd, mocny ucisk ręki...

Mówi towarzysz Jeniszejew: — Warszawa znam już dawno. Szedłem tedy w 1945 roku, kiedy wyzwalaliśmy waszą stolicę. Zdrutniona była strasznie! Nie myślałem wtedy, że sam dołożę ręki do jej odbudowy, a ot, teraz...

Mówi Fiodor Alafierow: — Ja kieruję brygadą monterów. Jak pracują? Dobrze pracują — jakżeby inaczej? Skąd przyjechałem? Z Turkmenii. Tam, gdzie się buduje wielki kanał — wiecie?

Mówi towarzyszka Lubaszina: — Tak, jestem spawaczką. Jest nas tutaj więcej, przeważnie młode dziewczęta. Pracowałam przed wojną w tym zawodzie i siebie w Leningradzie. A potem, jak wojna wybuchła... Potem była obrona Leningradu

i głodowe dni blokady i radosne dni, podczas których odepchnięto faszystów i lata służby frontowej. Jako oficer polityczny, starszy lejtnant Lubaszina dotarła do Warszawy...

— Tu nas więcej takich, co warszawę oswobodziliśmy — usmiecha się, wracając do swoich spawaczek...

Zapytajmy naszych polskich robotników — szeregowych wielkiej armii budowniczych Pałacu, jak im się pracuje z towarzyszami radzieckimi, jakie korzyści czerpią z ich doświadczeń, czego się od nich uczą? Słyszyny odpowiedzi o nowych maszynach, o sposobach ich obsługi, o nowych metodach pracy, na których widok szeroko otwierali oczy nawet ci, co już p r z e s z l i przez MDM lub Starówkę. A teraz już nie dziwią się, bo nauczyli się wiele, bardzo wiele... Wykwalifikowany betoniarz Stanisław Walczak i zatrudniony przy robotach ziemnych Ryszard Piechowski, mówią, a za nimi to samo powtarzają inni:

— „Ruskim” zależy na tym, żebyśmy się od nich dużo nauczyli. To widać od razu. Bywało, że do naszego fachowca tom nie zawsze śmiałoś miał, żeby dojsz i spytać, jak czego nie rozumiałem. A do nich to zarazem szedł. Prosił są, weseli, a nawet jak po swojemu tłumaczył, to tak, że się w głowie rozjaśnia. Świci ludzie. „Swoi”, bliscy są oni w pracy, na budowie, na wycieczkach, podczas których jeżdżą razem z polskimi towarzyszami, żeby poznać Polskę, dla której pracują...

Wielu wśród polskiej załogi budowniczych Pałacu przyszło tutaj odbywać „szkołę” MDM-u lub Starówki. Budowa Pałacu, to wyższy „stopień” tej szkoły. Szkoły korzystania z doświadczeń produkującej techniki, szkoły organizacji pracy — i nowego stosunku do człowieka.

Dzień za dniem rośnie Pałac. Wieczorami widać z bliska i z daleka śnie iskry, błyskające na wysokich piętrach. Wiemy, że to pracują zawieszony wysoko, między niebem a ziemią spawacze. Tak jak oni pracują inni — murarze i sztukatorzy, kamieniarze, cieśle, montażysty, operatorzy wielkich maszyn budowlanych, znawcy nowej techniki, o jakiej w latach trzydziestych, za czasów budowy okryzowanego „Prudentialu” nikomu się nie śniło...

W uroczyste dni — girlanda iluminacji oplata szczyt Pałacu. W dni zwykłe, robocze — płoną górą rubinowe światła, tak jak te gwiazdy, które goreją nad wieżami szwytowymi kopalni, obwieszając, że wykonano w nich plan.

Skądkolwiek zdążasz ku Warszawie — ujrysz go z odległości pięćdziesiąt kilometrów. Rośnie na chwałę naszej Ojczyźnie i czasem, w których „lud wszedł do śródmieścia”. Wśród dżdżystych wieczorów listopada i mroźnych nocy nadchodzącej zimy rzuca coraz dalej i dalej, coraz wyżej i wyżej gorący blask swoich światel. Tak płoną światła wielkiej przyjaźni.

Monika Warneńska

Z NOTATNIKA POSŁA

(dokończenie ze str. 4)

A czasem poseł otrzymuje listy z podziękowaniem za skuteczną interwencję. Wprawdzie tych listów jest ogromnie mało w stosunku do skutecznych interwencji, lecz na bezrybiu i rak ryb! A dla odmiany czasem przyjdzie i list z wymiślaniem.

Innymi słowy żywot posła bywa wielce urozmaicony. spotyka się z życiem we wszelkich jego formach i odmianach, natrafia na pokrzywdzonych i na chytrych mataczy, na potrzebujących pomocy i na krektaczy spod zakopanej gwiazdy, uczy się powoli odróżniać plewy od ziarna wśród ludzi, staje się orodownikiem, pocieszycielem strapiionych, opiekunem, nauczycielem, sędzią, a przede wszystkim staje się posem ludowym.

Gustaw Morcinek

FRANCISZEK ŚNIEG

Wypowiedzi po IX Plenum Partii

Socjalistyczne gospodarstwa

Tow. Bierut powiedział w swym referacie, że mechanizacja jest podstawowym warunkiem wzrostu sił wytwórczych w rolnictwie. Nie ma u nas w powiecie Sławno takiego robotnika w PGR, czy w spółdzielni produkcyjnej, któryby nie przekonał się, jak dalece maszyny rolnicze przyczyniają się do podniesienia plonów.

Cheć tu podać na przykładzie 18 gospodarstw naszego zespołu PGR Ostrowiec, który gospodaruje na 9 tysiącach ha, jak rozwinęła się mechaniczna uprawa pól w stosunku do 1949 r.

W roku 1949	W roku 1953
Traktorów szt. 45	sz. 85
Zn.warek kon. 13	47
Snopowizalek 15	50
Siewników zboż. 12	55
Siewników nawoz 8	34
Plugów traktor. 25	60
Plugów kon. 38	165
Młocarn 5	15
Kosiarek 5	83

W ciągu 4-ch lat osiągnięliśmy we wszystkich zbóżach plony o 7-8 q więcej. Tak samo w okopowych: sprzątaliśmy z hektara zaledwie 80 q ziemniaków; dziś — zbieramy przeciętnie 150-160 q i

widzimy możliwości — przy odpowiednim stosowaniu kultury rolnej — osiągnąć jeszcze wyższych plonów. Mamy tego przykład w naszym zespole w gospodarstwie Laski, którego kierownikiem jest ob. Mikołaj Osada. W Laskach jeszcze wiosną ub. roku zaplanowano ziemię pod sadzenie ziemniaków i w lecie ub. roku na powierzchni 91 ha zasiano lubin. Wiosną tego roku lubin zwalowano i puszczono talerzówkę; po talerzówce zasiano obożnikiem, przeorano na głębokość 22 cm, wyrównano włóką — i znów zwalowano. Po zbroniowaniu przystąpiono do sadzenia ziemniaków.

W gospodarstwie Laski gleba jest o wiele słabsza niż w sąsiednich gospodarstwach. Mimo to już w pierwszych dniach wykopków (przy pomocy radzieckich kopaczek) pokazało się, że w Laskach znacznie przekroczono dotychczasową wydajność z ha (130 q). Przeciętnie na obszarze 91 hektarów Laski osiągnęły po 190 q z ha, a na niektórych działkach — po 200 q.

Te osiągnięcia nie przyszły same; wszystko zależy od wiedzy agronomicznej. Na dwa tygodnie przed zakwitnięciem ziemniaków brygada polowa wysłała wapno nawozowe po 10 q na ha. Następnie stosowano radlenie trzyzędowe.

Gdyby we wszystkich gospodarstwach naszego zespołu wkładano tyle starań w pielęgnację ziemniaków, mieliśmyby ich w całym zespole o 300-400 ton więcej. Każde gospodarstwo jest zdolne na lepszej glebie osiągnąć jeszcze wyższe plony.

Od kogo zależy podniesienie stopy życiowej chłopu i robotnika? Im więcej wyprodukujemy, tym więcej będziemy mieli. Więcej będzie miał chłop i robotnik i ściślejsi zacięsi: się sojusznik robotniczo-chłopski.

W zespole PGR Ostrowiec, dzięki pomysłom racjonalizatorskim, powstały różne urządzenia. Ob. ob. Jan Walento i Edward Wodnicki zmądrzowali kilka dmuchaw do podawania siana i słomy; stały one od kilku lat nieczynne; dziś 8 dmuchaw zastępuje ludzkie ręce.

Nie jeden starszy robotnik przypomniał sobie ciężką pracę w obszarńniczym majątku. Wiele młodych ludzi tych czasów nie pamięta i nie dość uświadamia sobie, jak zmieniło się nasze życie: dowiaduje się o tym z książek naszej zespołowej biblioteki. Liczni nasi ZMP-owcy przeczytali „Ojczyznę” Wandy Wasilewskiej, „Dalekie i bliskie” Kowalskiego, „Stare i nowe” Rudnickiego, powieści Kruczkowskiego i wiele innych książek; wiedza za-

tem, w jak ciężkich warunkach ludzie żyli dawniej Nasze PGR — to dawne obszarńnice majątki.

Nikt w nich nie myślał o racjonalizatorstwie. Gdzieżby tam wówczas robotnik w obszarńniczym majątku martwił się tym, że plakatarnia stoi bezczynnie wskutek zużycia trybów stalowych ślimaków spiralnych? Mechanik Jan Walento z tow. Wodnickim, na zebraniu partyjnym przyrzekli uruchomić plakatarnię sposobem racjonalizatorskim. Z materiału przygotowanego ze zmelcu skonstruowali oni dodatkową transmisyję. Plakatarnia została uruchomiona bez trybów spiralnych i pracuje bez usterek. Powstała więc u nas możliwość przerabiania ziemniaków na placki ziemniaczane.

Pod wpływem też IX Plenum w przyszłym roku uruchomimy w naszych gospodarstwach: przyrządy do nakładania na wozy obornika, kolejkę w oborach dla dostarczania paszy i wywózki obornika, samoczynne poidea.

Nasze PGR w powiecie Sławno w dużym stopniu oddziaływały na gromady indywidualne, gdyż mamy w powiecie 68 spółdzielni produkcyjnych: bezmała połowa wsi przeszła na zespolową pracę. Chłopi widzą osiągnięcia naszych PGR i wiedzą, że w zespolonej pracy łatwiej o wyższe plony, o lepszy poziom gospodarki, o hodowlę na szerszą skalę.

Większe nasze osiągnięcia były możliwe dlatego, że państwo wypo-

sażyło nas w bazę techniczną, w maszyny różnego rodzaju, w środki inwestycyjne na budownictwo mieszkaniowe i gospodarcze, skierowując równocześnie do pracy techników budowlanych, cieśli, murarzy, lekarzy, zdunów itp.

Dotychczas wielu naszych robotników nie zdawało sobie sprawy, że podniesienie stopy życiowej zależy od nas samych. Za mała była u nas praca kulturalno-oświatowa i polityczna. Słabo pracowały nasze podstawowe organizacje partyjne. Nie mogła więc w większym stopniu wzmocnić świadomości naszych robotników. Nie mogę oczywiście porównywać obecnej świadomości naszych pracowników z okresem 1949 r. Nie ma już u nas robotnika, który by nie czytał i nie p r e n u m e r o w a ł takich pism i gazet, jak „Robotnik Rolny”, „Gromada-Rolnik-Polski”, „Chłopska Droga”, „Głos Koszaliński”, „Wieś” i wiele innych. Z książek ludzie — przez polskich powieści — stale czytają „Złnwa” Nikolajewej, „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego, „U nas już poranek”, Czajkowskiego, „Inkluzyw wiano” Mortena, „Zorany ugor” Szolochowa, „Słońce nad rzeką Sanghan” „Tajga”. „My ludzie radzieccy” i wiele innych.

Świetlice mamy prawie w każdym gospodarstwie. Robotnicy posiadają własne aparaty radiowe, gospodarstwa Kwasowo, Ostrowiec i Laski są zradiofonizowane. W krótkim czasie będą zradiofonizowane następne.

W naszych PGR-ach szeroko rozwinęło się współzawodnictwo pracy. 22 lipca 103 najlepszych pracowników zespołu otrzymało nagrody pieniężne. W 36-tą rocznicę Rewolucji Październikowej 140 pracowników wydatną pracę we współzawodnictwie. Dumni jesteśmy z tego, że mamy ludzi pracowitych, jak traktorzyści Edward Ciesielski z Ryszewa, Władysław Skalski i Anatol Wiekiewicz z Bożenicy, Hans Stwe z Karnie i Herman Sch ne z Zegocina; wybił się oni we współzawodnictwie za nicowym pracem Alojzego Karankowskiego z PGR Opatrno.

Nasi PGR owcy przekonali się, że wspólnie czytana książka i gazeta w świetlicy — to okno na szeroki świat. Ludzie są chętni do wszystkiego. Brak kandydatów do kierowania biblioteką, zespołem teatralnym, akcją odczytową — da się przezwyciężyć, gdy nasze organizacje partyjne i komitet zespołowy bardziej wnikną w potrzebę rozwinięcia pracy kulturalnej.

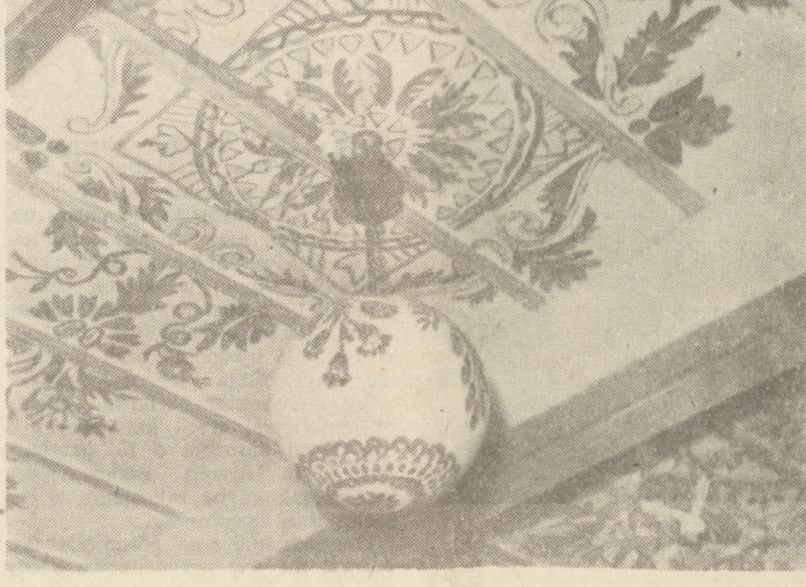
Przekonaliśmy się gruntownie, że bez wiedzy rolniczej, bez czytania książek, bez pracy kulturalno-oświatowej i podnoszenia poziomu ideologicznego — nasza praca nie będzie wzrastać.

Toteż nasi ludzie — po ogłoszeniu Tez Przedzjazdowych mówią sami, podnoszenie na wyższy poziom stopy życiowej zależne jest od naszej świadomości politycznej, naszej wiedzy i kultury.

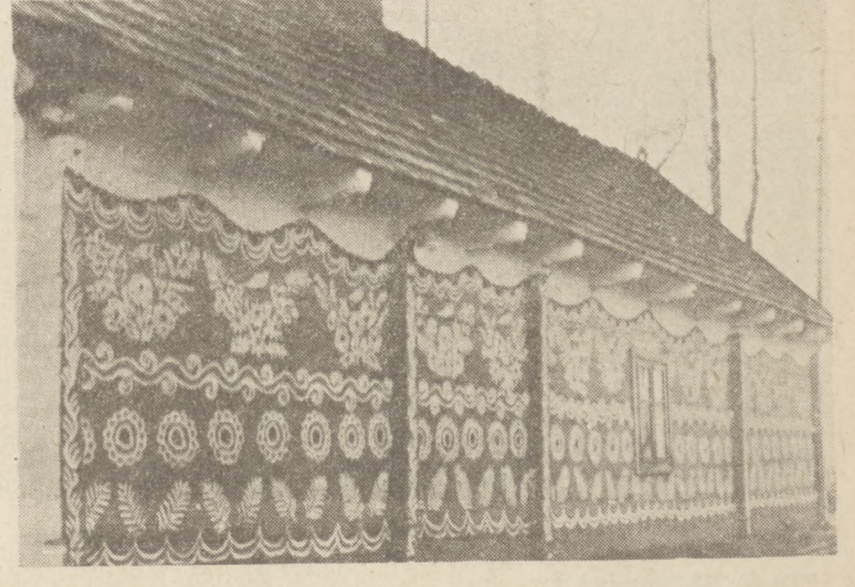
Franciszek Śnieg



Malowany piec chlebowy w Izbie Felcji Kosiniakowej.



Bogato zdobiony pułap w izbie Felcji Curylowej.



Tylna ściana domu Kosiniaków.



Przewodnicząca zespołu malarek Felcja Curyłowa przy pracy.

BARBARA LIPIŃSKA Zdjęcia ANDRZEJA MUSIAŁA

„Malowana wieś” Zalipie

Dzięki pracy zalipińskich kobiet malowanki ludowa w polskim statku doznała słusznego zaszczytu reprezentowania kultury polskiej w wielu portach świata.

Za tym wyróżnieniem przyszło następne. Inż. Barbara Brukalska sprowadziła zalipianki do Warszawy na odbudowujący się Rynek Staromiejski, prosząc o pomalowanie w zalipińskie wzory pułapu w sklepie „Desy”. „Curyłkę” znalazł wtedy cały Rynek Staromiejski; gromadzili się wokół niej robotnicy, chętni do pogawędki z zalipińskimi malarkami. Ileż w trakcie tych dyskusji (niezwykle gorących z racji temperamentu Curyłowej) wyjaśniło się niezrozumiałych dotąd problemów! Na ileż znowu poszerzył się świat i widzenie jego spraw!

Po tych radosnych wyprawach trzeba było wrócić do rodzinnego Zalipia — i w nim pracować.

Dumni są z nich teraz zalipińscy gospodarze. Mówią oni: „Nasze kobiety przyniosły do Zalipia światło”.

Warto tu wspomnieć dni Zjazdu Szczecińskiego. Felcja Curyłowa śmiejąc się opowiada, że miała zamiar zawieźć do Szczecina lampę naftową, aby pokazać, jak trudno jest malować przy jej oświetleniu. Stając wtedy na trybunie oświadczyla, że nie będzie mówiła o pracy zalipińskiego ośrodka tak długo, jak długo nie otrzyma przyrzeczenia, że Ministerstwo Kultury i Sztuki pomoże w zelektryfikowaniu Zalipia.

Nie pomogły obietnice, że elektryfikacja wsi zajmie się Ministerstwo Rolnictwa. Curyłowa szybko znalazła i na to odpowiedź:

— „To prawda, że jestem w rolnictwie; jestem jednak i w kulturze i tego się trzymam”.

Władza ludowa uczyniła zadość prośbie zalipianek: tej jesieni poprzez rozmołki pola popłynął do Zalipia prąd elektryczny. Jak widzimy, zalipińskie malar-

ki zrozumiały swoją rolę w budującej się nowym społeczeństwie.

Zalipie od lat toczy walkę z obciążeniami, które wytworzyły rozdrobnione, niespełna dwuhektarowe gospodarstwa. Każdy rok przynosi tu poprawę. W roku bieżącym wyraźnie wzrosło wśród zalipińskich gospodarzy poczucie obowiązku wobec państwa; mimo gorszych zbiorów zboża Zalipie wykonało plany skupowe w 100 proc. Wieś ta wyraźnie wzrasta i rozwija się.

W odległości 4 kilometrów od Zalipia rozpoczęły się prace nad umocnieniem rzeki Zabiniec. Przyciągała też budującą się Nowa Huta. Powędrowało tam do pracy kilkunastu zalipińskich chłopów. Niedzielne powroty do wsi, długie opowiadania o nowych formach pracy bezpośrednie zetknięcie się z podkrakowskimi robotnikami — zrobiły swoje. Duch zespołowej pracy stworzył zupełnie nowych ludzi. Ich powrót do wsi pomaga w dojrzeniu zalipińskich chłopów.

To właśnie tłumaczy podjęcie przez całą wieś pracy przy budowie robót melioracyjnych celem osuszenia straszliwego zalipińskiego błota. Zapoczątkowanie tych prac dla uczczenia II Zjazdu Partii, nadało konkretną formę chęci podążania naprzód. Potwierdza to entuzjazm, z jakim wieś przyjęła projekt założenia poletek doświadczalnych. Szkoda tylko, że prelegenci powiatowi, oblecując dostarczenie nawozów sztucznych, po pierwszej bytności w Zalipiu nie pokazali się więcej we wsi — i nawozów nie przysłali.

Czytelnicy mieli by prawo zapytać: dlaczego piszemy o gospodarce Zalipia w artykule poświęconym ludowemu malarstwu? Upoważnia nas do tego następujący fakt:

Kilka dni temu Curyłowa, w momencie odbierania nagród dla swojego zespołu, mówiła o swoich obowiązkach wobec społeczeństwa. Pragniemy więc wspólnie z dwu-



Druga z zalipińskich bohaterek — Felcja Kosiniakowa obok wymalowanych budynków gospodarskich.

dziesiątoma malującymi zalipiankami ustalić zadania, które sztuka ich winna wypełnić. Ulatwia to fakt, że artyści ludowe są w okolicy bardzo popularne i że wzrasta uznanie dla ich twórczości, propagowanej m. in. przez dzieci szkolne. Uczęszczając bowiem do szkół w sąsiednich wioskach, dziatwa szkolna przenosi tam zalipińskie tradycje, budząc zainteresowanie malarstwem. To sprawia, że malarstwo zalipińskie rozwija się, rozszerza na nowe tereny, wzbogaca swą tematykę.

U starszych kobiet na wzbogacenie tematyki oddziaływały także ich przeżycia, wspomnienia, zasłyszane rozmowy, tożsame dyskusje. Ich wyrazem są malowanki tematyczne Curyłowej: „Zalipie dawniej”, „Moją zagrodę zelektryfikowano”, „Budowa Pałacu Kultury i Nauki”, oraz powracające w obrazach Klawi, Felcji Kosiniak, Rozalii Janeczek motywy budowy Nowej Huty.

Dotykamy sprawy dla Zalipia najboleńszej. Młodsze zalipińskie maluje obrazki z życia świetlicowego; są one jednak (to pozornie wygląda na paradoks) wytworem ich bujnej wyobraźni! Bo w ośrodku, nabrzmiałym tradycjami kulturalnymi, do tej pory nie ma świetlic! Jest to tym przykrejsze, że zalipianki swą piękną sztuką mogą stworzyć ze świetlic żywe muzeum swego regionu.

W Zalipiu nie jest jeszcze łatwo gospodarować. Brak w okolicy wzorów pracy zespołowej; brak też maszyn rolniczych.

Dużo jest jeszcze w Zalipiu do zrobienia. Trzeba się tu zająć propagandą książką, organizować wieczory dyskusyjne, zadbać o dojazd kina; trzeba też mówić o trudnej gospodarce na rozdrobnionych płachetkach ziemi i o sile mądrze gospodarującego kolektywu.

Nie brak we wsi własnego materiału na zbudowanie świetlicy: trzeba tu tylko rozbudzić chęć stworzenia wspólnego ogniska kultury. Malarki próbowały urządzenia w swoich własnych domach czegoś w rodzaju świetlicy; zbierano się w niej w niedzielne popołudnia na sąsiedzkie pogawędki. Nie dało to jednak oczekiwanego rezultatu.

Wieś zalipińska zdolna jest wysoko podnieść poziom swego życia kulturalnego i gospodarczego. Ogromna jej siła tkwi w 20 malarkach — przodujących kobietach tej wyjątkowej gromady. Zorganizowane w zespół, mogą one stać się zarzewiem

rewolucji kulturalnej. Aby jednak zdolne były to uczynić, muszą działać kolektywnie i swymi uzdolnieniami organizatorskimi porwać za sobą wieś.

Krzywda nie tylko dla zespołu, lecz i całej wsi byłoby niezdrowe ambię wybicia się, zmonopolizowania w swoim reku zdobytych na kursach wiadomości, mogących podnieść poziom artystyczny reszty malarek. Od okresu, w którym ich babki i matki malowały sadzami białe ściany chat, minęło wiele czasu. Curyłowa, rozpoczynająca swą działalność od malowania na papierze pakowym, była już kilkakrotnie na kursach w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. Zajęli się nią troskliwie zawodowi plastycy i architekci. We Włocławku poznała sposoby zdobienia wyrobów ceramicznych. Nauczyła się utrwalać barwne wzory na tkaninach. To, że jej wzory z podpisami rozchodzą się po całej Polsce — zobowiązuje ją do troskliwej opieki nad twórczością.

Zalipińskie malarki często wyjeżdżają do innych środowisk, poznają wielkie nasze budownictwo i życie całego kraju.

Przenoszenie doświadczeń socjalistycznego budownictwa na teren własnej wsi jest dla zalipińskich malarek jednym z najbardziej ważnych zadań. Muszą one stawać się coraz bardziej odpowiedzialnymi za to, co się we wsi dzieje.

Radosnym jest zapewnienie Felcji Curyłowej, że w okresie zimowym zalipianki będą więcej czytać i dyskutować o książkach, że zdobędą radio, że będą zdobywać coraz więcej wiadomości i przekazywać je młodszemu koleżankom.

Ośrodek zalipiński stworzyła praca kilku najbardziej zdolnych kobiet; rozwinąć go i umocnić może tylko cały kolektyw. Na Zjeździe Twórców Ludowych prof. Seweryn powiedział zalipińskim kobietom: „Do tego czasu podawano wam rękę, traktowano was niejednokrotnie jak dzieci, które trzeba uczyć chodzić. Przyszły już czas, abyście same pomyślały o swojej przyszłości, same rozpoczęły propagandę w swoim zespole. To będzie najpiękniejszy czyn waszego ośrodka”.

Na taki czyn, na pomoc kobiet zalipińskich w organizacji życia kulturalnego i gospodarczego wsi, na pomoc w przekształcaniu jej gospodarki — liczą dziś szerokie warstwy społeczeństwa.

BARBARA LIPIŃSKA

W SRÓD łagodnych nadwiesiańskich wzniesień, w odległości 30 km od Tarnowa leży Zalipie — wieś znana dziś w całej Polsce.

Droga do Zalipia rozmokła od jesiennych błot, ale trud jej przebycia sownie się opta. Bo oto przed oczyma wędrowców wyrasta mnóstwo wiejskich domów o malowanych podcieniach, zdobionych bogato barwnymi wzorami pięknych kwiatów.

Historia zalipińskiego ośrodka — to jednocześnie historia kilku zalipińskich malarek, które swoim długoletnim upartym trudem stworzyły nową dziedzinę sztuki ludowej i w wiosce, zagubionej wśród błotnistych dróg, utrwaliły piękno ludowej tradycji.

Opowiadania ich sięgają okresu, gdy w Zalipiu nie było jeszcze malowanych izb. Matki naszych malarek nie znały jeszcze misternych wzorów kwiatowych. Wystarczała bielona ściana z „paczkami” sadzy. Za pędzel służył przekrojony na ćwiartki kartofel.

Tak zaczynała się „malowana wieś”. Jeszcze do dziś dolne części pieców zalipińskich zdobione są prostym szlakiem wyczerpionym sadzami. Tyle zostało z dawnego.

O barwnych kwiatkach, malowanych na ścianach pieca, na belkach sufitu, na zewnętrznych ścianach domu, Felcja Curyłowa i Kosiniakowa — najstarsze z zalipińskich artystek — marzyły od najmłodszych lat. Smutne było ich dzieciństwo; opropieniała je zaledwie czteroletnia nauka w zalipińskiej szkółce. Jedyne pociechą było malowanie; i to ukradkiem, bo rodzice nie pozwalali na „marnowanie” pieniędzy na drogą farbę i papier. Dopiero po dłuższym czasie zrozumieli, że nie są to tylko „dziecinne zabawy”, że budzą się w ich dzieciach wielkie talenty, wyrosłe z obserwacji i współzycia z wiejską przyrodą.

Wtedy już nie bronili więcej pędzla; wprost przeciwnie — sami prosili o przyozdobienie wnętrza swych izb. Kwiaty, wyrosłe na ścianach domów Curyłowej i Kosiniaków szybko przewędrowały do innych zagrod. Wieś zalipińska stawała się coraz bardziej strojną.

W r. 1925 zainteresował się zalipińskimi malowidłami prof. Seweryn z Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Obserwując rozwijający się coraz potężniej artystyczny zalipiński kolektyw, zabierał ich prace do Krakowa; ale pomóc ludowemu malarstwu nie mógł, bezsilny wobec lekceważenia ich wspa-

niałego dorobku. Z okresu przedwojennego pozostało w Zalipiu tylko wspomnienie wieczorów, spędzanych przy lampie naftowej — życia, zamkniętego w ciasnym, duszącym kręgu biedniackich zagrod.

Wraz z wyzwoleniem Zalipie doczekało się odrodzenia zapomnianej sztuki. W r. 1948 przyjechali do Zalipia przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, którzy — według słów Curyłowej „po dwie pary butów znieśli na nasze zalipińskie błoto, byle tylko naszą sztukę z Zalipia wyciągnąć i pokazać narodowi”. Obejrżeli malowane chałupy, zabrali z sobą do Krakowa stare wyblakłe malowanki, zorganizowali wystawę i konkurs na najpiękniejszą urządzoną izbę.

Zapoczątkowało to wielki ruch w zalipińskich zagrodach; starsze już, zmęczone życiem kobiety zrozumiały nagle, że sztuka ich stała się komuś potrzebna, że nadszedł czas pokazania jej oryginalnego piękna. Felcja Kosiniakowa do dziś jeszcze pamięta dzień, w którym wraz z Curyłową otrzymała pierwszą nagrodę za swą izbę. — „Rozplakałam się wtenczas z radości — opowiada. — Nie dlatego, że wzięłam pieniądze, lecz dlatego, że zrozumiałam, jak bardzo Rząd Polski Ludowej o nas się zatroszczył i wynagrodził za tyle lat trudnej pracy”.

Od tego czasu rosła popularność Zalipia. W roku 1951 Komisja Ministerstwa Kultury i Sztuki przy udziale artysty Lecha Grzeskiewicza i inż. arch. Barbary Brukalskiej, zaprosiła cztery zalipińskie malarki: Curyłową, Wojtyło, Klawi i Kosiniakową do zdobienia jednej z sal na statku „Batory”.

Po raz pierwszy znalazły się zalipianki między ludźmi z całej Polski. W czasie pobytu na statku w długich dyskusjach z marynarzami poruszały sprawy, które daleko wykraczały poza ich własne podwórko; należały do nich odbudowa kraju, rozwój przemysłu i handlu.

W parze z szybkim poszerzeniem się horyzontów myślowych przyszło również zapoznanie się z nową techniką malarską kazeinowo-woskową. Tu — w zestawieniu technicznych farb — potrzebna była pomocna dłoń architektów i zawodowych malarzy. Jeśli jednak chodzi o kompozycję motywów kwiatowych i zwierzęcych, malarki otrzymały zupełną swobodę.

Wynik przeszedł wszelkie oczekiwania; bawialna dziecięca, wynalowana w zalipińskie wzory, uderzała niepowściągliwie i pogodnym, ludowym charakterem malarstwa.



Ceramika, zdobiona zalipińskimi wzorami.

WANDA KARCZEWSKA

PIEŚŃ O ZIEMI MAZURSKIEJ (fragment poematu)

„O ojczyzna nasza mowo, coś kwitnęła nam przed laty zakwitnijże nam na nowo jako kwitną w lecie kwiaty.

Michał Kajka

Ty co po wiekach do ojczyzny jak utracone dziecko wracasz, pieśni mazurska, gimna, nasza, przywołaj mi przed oczy, przyzwij miasta śród puszcz ogromnych jezior, jodeł i jasných brzoź obłoki, gdzie wioski są wzgórzami leżą w ciszy zielonej i głębokiej. Te drogi wiejskie i piaszczyste, ociekające rdzy kroplami, gdy wiatr jesienny zrywa liście i rudość drzew okrywa mgłami.

Noce wysokie, księżycowe nad wód głębiami, tam gdzie siola olenia leśny głóg i paproć, — w was to wszeptował polską mowę lud, gdy renegat w szkole zdołał ojczysty język dzieciom zabrać. Tyś to, Mazurko posiwała, kurlantkę — córkom swoim w wianie przekazać, polską pieśń, umiałaś o „zianku” ślubnym, o kochaniu. Ciebie ojczyzna polska mowo, coś tu kwitnęła nam przed laty, wpisywał w deskę sośninową poeta cieśla i bohater.

Mazury, Warmio, po twych ścieżkach idąc, niejedną z twoich synów zapłakał gorzko łzami dziecka, gdy mu ślad Polski z oczu ginął. W opłotkach jarzębina krwawa o dniach niedawnych mi szeleści, jak z nich niejedno życie dawał, że nazbyt kochał ojców pieśni. Że jak gałęzie z pnia oddarte, jałowca krzew wyrwany z ziemi, zbierał tę pieśń co uparcie żyły przez wieki tu i będą trwały — dopóki my żyjemy.



Wzory zalipińskie, stosowane przez Instytut Wzornictwa Przemysłowego do zdobienia tkanin.



Chłopi ze Smonowic radzą nad sprawami czytelnictwa — fot. A. Musiał

ZOFIA SZPROKOFF

W SMONOWICACH

„Teraz nie ma panów, chłop pracuje łżej i więcej ma z tego, a wszystko to dla siebie”.
„Człowiek w carskiej Rosji traktowany był jak bydlę robocze. Dopiero w Wielkiej Rewolucji Październikowej lud rosyjski wywalczył sobie wolność. I my Polacy byliśmy w takiej niewoli — choć niby wolni, a potem pod okupacją hitlerowską. Armia Radziecka wyswobodziła nas z tych podjowych kajdan. Wyzwolił nas prosty radziecki człowiek pod Stalingradem. Zrozumiałem to ja — stary człowiek, gdy przeczytałem „Dni i noce”.

Dwie te wypowiedzi Michała Kulczyckiego i Pawła Chrzanowskiego dzieli rok czasu. Rok, który minął między drugim, a trzecim etapem konkursu czytelnictwa, posunął w Smonowicach wiele spraw naprzód.

W dwóch pierwszych etapach konkursu przeważała w lekturze czytelników ze Smonowic nowela pozytywistyczna. Śledząc po nią znajdują w „Antyku”, „Janku Muzykancie”, „Szczakach węglem”, „Bartku zwycięzcy” czy „Za chlebem” nie tylko obraz doli chłopów sprzed lat 70-tych. Był w nich zawarty także jakiś fragment ich życia, ciężki i beznadziejny. I dlatego nowela pozytywna ułatwiająca im porównanie starego z nowym, decydowała w dużej mierze o akceptacji nowego życia. Ale poza nią nie wiodła. Przeważająca ilość chłopów ze Smonowic uważała, że to nowe życie, które przyszło po r. 1945, jest dla nich już ostatecznie ukształtowane. Reforma rolna była w ich pojęciu ostatnim ogniewem w łańcuchu przemian.

„Teraz nie ma panów, chłop pracuje mniej i więcej ma z tego a wszystko to dla siebie”. — Te słowa Michała Kulczyckiego wyznaczały pozycję, na jakich stali chłopcy w Smonowicach jesienią 1952 roku. Wrośnięty w krag swoich gospodarstw — oto, jak można było je określić.

W 1951 i 1952 r. dla chłopów ze Smonowic ostateczną i jedyną miarą wydarzeń był ich osobiste, w oderwaniu od ogólnych przemian, potraktowany los.

Z wypowiedzi Chrzanowskiego widać, że w ciągu roku mieszkańcy Smonowic nauczyli się patrzeć na swoje życie w powiązaniu ze sprawami toczącymi się w całym kraju. Książka radziecka była szkołą sw. a. domości politycznej i obywatelskiej.

„Mnie z przeczytanych książek najbardziej podobała się „Rzeka ujarzmiona” — pisał w trzecim etapie konkursu czytelnictwa 17-letni Tadeusz Augustyniak — człowiek radziecki potrafił przewyczyć się silę potężnej rzeki. Wielką siłę stanowią na budowie komсомольcy. Nie zrażał ich mróz, ani upał letni. Wspinają się wysoko na rusztowania i zanurzają się głęboko pod wodę. Podjęte współzawodnictwo przyspiesza budowę zapory i daje możliwość ujawnienia i rozwinięcia zdolności młodych dziewcząt i chłopców.

Młodzież z naszej wsi, ZMP powinna tworzyć swoje życie, tak jak tworzyła je młodzież „Rzeki ujarzmionej”. W naszej gromadzie sprawa czytelnictwa i świetlicy powinna stać się sprawą młodzieży. Nie chodzi tylko o nasze lepsze życie, ale też o to, że w ten sposób wychowuje się świadomych obywateli Polskiej.

W jakiej sytuacji znajdowała się wtedy, gdy mówił Augustyniak, młodzież ze Smonowic?

Prawie wszyscy z dawnych członków koła ZMP wyjechali do pracy w Nowej Hucie w Sosnowcu. Jesienią 1952 r. większość młodych chciała odejść ze Smonowic. Z zadróżką mówiła Władysława Kubiczka o swoich koleżankach, które pracują i uczą się w mieście. Nie wielu tylko, jak Mieczysław Nowak, było „zamierzonych w gospodarstwie”, niewielu widziało możliwość pełnego i szczęśliwego życia w swojej wsi. Ci, którzy pozostali, tacy właśnie jak Mieczysław Nowak, jak Tadeusz Augustyniak, który wrócił po skończeniu szkoły do domu — chcieli stworzyć nowe, lepsze życie na miejscu w Smonowicach, choć niejasno jeszcze widzieli, jakie drogi prowadzą do niego.

Dlatego ich ulubionym bohaterem jest młdziej „Rzeki ujarzmionej”. Nie szukają przy tym gotowych schematów rozwiązań, lecz wzorów postępowania, wzoru postawy wobec życia.

Świetlica, czytelnictwo mają być

dla nowo zorganizowanego koła ZMP pierwszą pracą na drodze wiodącej do zrealizowania tego planu. Na zebraniu organizacyjnym koła ZMP, 29 listopada br. omawiana była sprawa udziału ZMP-ców w czwartym etapie konkursu czytelnictwa. Stworzą oni dwa zespoły, wezmą udział w rekrutacji czytelników. Na wiosnę pomocą w opracowywaniu wypowiedzi konkursowych.

W lekturze czytelników ze Smonowic zajęły w trzecim etapie konkursu znaczne miejsce książki radzieckie, „Szosa Wołokołamska”, „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „Dni i noce”, „Młoda Gwardia”, „Kawaler Złotej Gwiazdy”, „Zorany ugor”. W sytuacji, jaka wytworzyła się w ciągu ostatniego roku w gromadzie, chłopcy ze Smonowic poszukiwali w nich rozwiązań dla zagadnień, które stanęły przed ich wsią.

Przez cały ubiegły rok żywą była dla Smonowic sprawa Michała Kulczyckiego. W roku 1952 w lecie gromada odkryła, że gromadzone przez nią od paru lat pieniądze na budowę świetlicy, oddane do dyspozycji komitetu budowy, do którego wchodził również Kulczycki, częściowo zostały zaprzępszone. Oburzenie ludzi było wielkie. Michał Kulczycki usunął został ze stanowiska radnego, drugi z członków komitetu Edward Łój ustąpić musiał ze stanowiska przewodniczącego kółka miczurinowskiego. Jednak gdy cała gromada przystąpiła do zwłoki materiałów na budowę, wzięli i oni w tym udział. Jednak i z tego wina zmarnowały się pieniądze gromadzkie. I nie zmienia sensu sprawy fakt, że zwrócił on część pieniędzy, uznając swoją winę, swoją lekkomyślność. Jednocześnie jednak to przodujący gospodarz. Przecież to on, a nie kto inny został wyróżniony w tegorocznym skupie zboża, na hoduje 25 świń. Jest zawsze pierwszym, który przeprowadza doświadczenia w kółku miczurinowskim; w tym roku jako jeden z trzech gospodarzy Smonowic siał wykę ozimą. On też był inicjatorem czynu Pierwszomajowego, współzawodnictwa o większą wydajność z hektara i podniesienia hodowli. Winy jego były duże, tym bardziej, że prowadząc spór z nauzczykiem Zdenkowskim, któremu zarzucał zniechęcanie szkoły, odciągał ludzi od udziału w trzecim etapie konkursu czytelnictwa, który prowadził Zdenkowski. Aktywność gromadzką nie umiał rozstrzygnąć pytania — wróg czy człowiek błędzący. A to w dużej mierze demobilizowało gromadę, rozbiło jej jedność, spowodowało, że w trzecim etapie konkursu brało udział zaledwie około 50 osób (na 150 w etapie drugim), to spowodowało, że budowa świetlicy utknęła na martwym punkcie. Dlatego sięgając po książkę szukają w niej czytelnicy ze Smonowic odpowiedzi na to pytanie. I znajdowali:

„Zorany ugor” ukazuje życie wsi radzieckiej przed kolektywizacją, ukazuje walkę o kolchoz. To piękna książka, bo pokazuje jak trudna była walka, pokazuje jej przebieg, jej metody. Magulnow nie umiał przekonać ludzi. Gdy sam widział słusność drogi, po której szedł, uważał, że i inni bez zastrzeżeń powinni nią pójść. A ludzie często dlatego, że czegoś nie rozumieją, nie pójdą tam, gdzie ich dobro i dobro wszystkich. Inne metody miał Dawydow. Postawił sobie za zadanie zjednać, przekonać ludzi — argumentami, przykładami... I tym skutecznie zwałzał uprzedzenia ludzi i działania wrogów. Kwestia metod postępowania walki z wrogiem i przekonywania błądzących jest sprawą dla Smonowic bardzo ważną. Nie dziwnego więc, że Augustyniakowa zwróciła na nią przede wszystkim uwagę w „Zorany ugorze”, nie dziwnego, że mówił o tym w rozmowie Stanisław Szastak, Mieczysław Manterys. Tak od lektury powieści dochodzą czytelnicy ze Smonowic do spraw kluczowych dla życia całej gromady.

Drugą grupą przeczytanych w trzecim etapie konkursu czytelnictwa były książki gospodarce. Doświadczenia kółka miczurinowskiego, które powstało w roku 1951 i lektura broszur rolniczych ukazują chłopom ze Smonowic wielkie możliwości jakie tkwią w ich gospodarstwach.

„Książka nauczyła mnie dużo i przez nią otrzymałem lepsze plony w polu i w ogrodzie — pisał Piotr Bielawski — sam mając kilka drzew owocowych postanowiłem uszlachetnić je korzystając z pomo-

cy książek i zacząłem szczepić jedną odmianę na innej podstawie. W ten sposób otrzymałem lepsze owoce, a drzewa rodzą więcej”.
„Ja podziwiam te osiągnięcia jakie mają w Związku Radzieckim różne odmiany zbóż miczurinowskich o jakich czytałem w broszurach. Dlatego gdy dowiedziałem się, że w sąsiednim PGR czynione są doświadczenia z pszenicą krzaczastą, postarałem się o jeden kłosek pszenicy co na jednym żdzbie ma 7 kłosów. Dla doświadczenia wysiałem w polu — czy wyrosnie taka sama. Pewnie że nie zamierzamy uprawiać zaraz pszenicy krzaczastej. To na razie tylko doświadczenia, ale u nas w gromadzie można by spróbować do siania dobre odmiany zboża, żeby plony były dorodniejsze, żeby było więcej chleba i trzody, i wszystkich produktów dla wszystkich na wsi jak i w mieście”. Tak pisał w styczniu 1953 r. Stanisław Augustyniak.

Na wiosnę tego roku 22 gospodarzy, przeważnie członków kółka miczurinowskiego, siało jęczmień jary, którego kwalifikowane ziarno sprowadzane było z PGR specjalizującego się w hodowli ziarna siewnego. W 1954 roku — 40 gospodarzy (na 70 w gromadzie) ma siał żyto kwalifikowane. Jest to zasadniczy przełom. Dotąd rozwijająca się pomyślnie praca kółka miczurinowskiego skupiała się na małych doświadczeniach na polkach.

Przed Smonowicami stanął zatem nowy problem — wspólne działania, wyjścia gospodarzy poza opłotki swego gospodarstwa.
„Z książki „Jak żyć w radzieckiej Ukrainie” poznałem życie chłopów radzieckich i ich zwycięskie osiągnięcia. Pomyślałem tylko — 50 q pszenicy z ha! Dużo z książek gospodarzy zastosowałem u siebie, np. jeżeli idzie o podniesienie mleczności krów, choć maż mi do kuczka, że nie umiem tyle osiągnąć, co by można było. U nas w Polsce nie ma takich osiągnięć, bo ludzie pojedynczo nie mogą sobie dać rady” — oto sąd opinii Otylii Augustyniakowej.

Tak więc przed gospodarzami ze Smonowic stoi zagadnienie wspólnego działania w ramach gromady, wspólnego podnoszenia indywidualnych gospodarstw. Taki sens ma zobowiązanie 1-Majowe, w którym wzięło udział 22 gospodarzy, a które w ogólnych cyfrach spowodowało wzrost trzody chlewnej o 30 sztuk, krów o 18. A to jest niemal, zważywszy że na 5-hektarowych gospodarstwach w Smonowicach, przy podmokłych łakach nienajlepiej jest z paszą.

Trzeci etap konkursu przebiegał w momencie kiedy w gromadzie z jednej strony nastąpiło załamanie pracy kulturalnej, z drugiej, doświadczenia kółka miczurinowskiego wskazywały na opłacalność gospodarki prowadzonej w oparciu o książkę rolniczą i rozdziło się poczucie konieczności wspólnego działania gospodarzy. Aktywność kulturalną i gospodarczą poszedł naprzód, ale tylko częściowo potrafił poprawić z sobą gromadę. 40 gospodarzy, którzy w 54 roku siał będą ziarno kwalifikowane, to zdobył stu utraczonych w porównaniu z drugim etapem konkursu czytelnictwa, to oczywiście się, to dowód, że aktywność gromadzką nie umiał słuszenie ocenić i wyzyskać szans, jakie dawało mu czytelnictwo. Ma więc przed sobą zadanie: odrobienia tego, co zostało zaniedbane w czasie trwania trzeciego etapu, rozszerzenia i wygrana mobilizacji gospodarzy gromady.

Na zebraniu 30 listopada gospodarze ze Smonowic dyskutowali o sprawach czytelnictwa i świetlicy. Zespoły czytelnictwa w IV etapie konkursu podjęli się prowadzić pr. dujący czytelnicy książki i produkujący gospodarze: Otylia Augustyniakowa, Kazimierz Pluta, Mieczysław Manterys, Michał Kulczycki. Ten sam, który popelniał lekkomyślność, który krętymi drogami szedł do zrozumienia wielu spraw, ale który zaczyna pojmować, że gospodarka i kultura — to są sprawy nierozłączne. To daje gwarancje ścisłego powiązania spraw kulturalnych i gospodarczych. Daje gwarancję, że prace kółka miczurinowskiego prowadzone nieco bezplanowo i bez perspektywy rozszerzenia ich na całą gromadę — nabiorą rozmachu. W ten sposób i dążenia młodzieży do stworzenia szczęśliwego, lepszego życia w rodzinnej wsi znajdują realne oparcie.

Zofia Szprokoff

TEOFIL KOWALCZYK

TEATR I LUDZIE ŻERKOWA

ŻERKÓW poznański posiada prawo miejskie, ale niewiele różni się od wsi. Głównym źródłem utrzymania ludności jest rolnictwo i ogrodnictwo. Samopomoc Chłopska skupia w swoich rękach handel i drobne przedsiębiorstwa rzemieślniczo - usługowe. Rozległe wokół pola i zupełny brak przemysłu podkreślają jeszcze bardziej wiejski charakter Żerkowa. Odległy od najbliższej stacji kolejowej o 6 km. a od Jarocina o 15, przypadł do ziemi wśród malowniczych wzgórz jak gdyby zakochany w romantycznej samotności.

Osamotnienie tego pół-miasteczka, pół-wsi nie jest przypadkowe. Kiedy rząd pruski budował kolej do Gniezna, brasę wytyczoną zdała od Żerkowa. Pruscy junkrzy i przemysłowcy woleli go ominąć. Pamiętali ostre kosy żerkowskich chłopów, którzy w bitwie pod Miłostawiem w okresie powstania wielkopolskiego w roku 1848 mocno poszczerbili pruskie kompanie. Nawet król pruski, Fryderyk IV, który w Żerkowie posiadał wspaniały majątek osobisty, nie pokazał się w nim już do końca życia. Bitwa pod Miłostawiem zaciężyła na losach Żerkowa. Zepchnięto go na ubocze. Prusacy unikali tego „gniazda osi”.

Żerków jednak nadal walczył. W czasach Bismarcka oparł się zwycięsko polityce wynarodowienia. Miłostawickie kosy zamieniły chłopów na przędź na organizację tzw. Sokola, a gdy te zostały przez rząd pruski zakazane — na organizację śpiewacze i artystyczne. Na tym polu żerkowianie toczyli nieubłaganą walkę z germańskim imperializmem gospodarczym i politycznym. I walkę tę wygrali. Niemczyzna nie zakorzeniła się tu nigdy.

Tradycja chórów śpiewaczych i zespołów artystycznych tkwi bardzo mocno wśród tutejszej ludności. Tu stawali pierwsze kroki na amatorskich deskach scenicznych Leon Wyrwicz. Typ sztuki estradowej cieszy się tu wielkim uznaniem. Gdy na zakończenie miesiąca przyjaźni polsko - radzieckiej w roku bieżącym nie dopisał żerkowianom „Artos”, zastąpiły go miejscowe dzieci szkolne, które z powodzeniem zapieśniły estradową lukę, wykonując szereg pieśni, recytacji i monologów.

✱

Inż. Mieczysław Domagalski, liczący sobie dziś 73 lata, którego dziać brał udział w powstaniu wielkopolskim w okresie Wiosny Ludów, jest wrogiem imkwienu w bezczynnym osamotnieniu. Gospodaruje w Żerkowie na małym kawałku ziemi i znajduje czas na pracę społeczną. Był jednym z organizatorów „Sokola” i kółek śpiewaczo - artystycznych w Żerkowie w czasach Bismarcka i jego antypolskich wystąpień. Po zakończeniu drugiej wojny światowej wrócił do rodzinnego Żerkowa i do pracy, której poświęcił się przez wiele lat z czasów młodości — do pracy w zespołach artystycznych. Z tego to inicjatywy, a przy poparciu miejscowego Zarządu ZSCH powstaje w roku 1948 amatorski zespół teatralny. Opracował „Zabusie” Zapolskiej i „Grzech” Żeromskiego. Opracował... ale jak! Za „Zabusie” zespół został dwukrotnie odznaczony na eliminacjach zespołów powiatowych i wojewódzkich w latach 1951 i 1952. „Grzech” Żeromskiego dotychczas cieszy się niesłabnącym powodzeniem. Grano go nie tylko wielokrotnie w Żerkowie, ale i w okolicznych, nieraz bardzo odległych miejscowościach, jak Orzechowo, Nowe Miasto i Reszewo. Chłopcy przychodzą na przedstawienia nawet z odległości 9 km. Sala nigdy nie świeci pustkami, widownia jest wruszona do głębi, nawet mężczyźni ocierają łzy.

Zespół ma w swoim dorobku nie tylko wymienionej sztuki, lecz również Fredry: „Nikt mnie nie zna”,

„Odlutki i poeta” oraz „Gwałtu co się dzieje”. I na tym jeszcze nie koniec. Organizuje koncerty Filharmonii Poznańskiej. W roku bieżącym Filharmonia bawiła tu trzykrotnie. Żerków jest bodajże jedynym miasteczkiem w Polsce, który takie koncerty i tak często organizuje. Miasteczko-wieś bierze odwet za czasy pruskiego ucisku, nadrabia lata stracone pod rządami kapitalistów i sanatorów polskich. Wielkie miasta mają swoje sławne instytu-

jest niewątpliwie duży. Jednostka bez zespołu aktywnych ludzi niewiele znaczy. Odgrywają tu rolę i bohaterskie tradycje miejscowe, na których wychowują się pokolenia. Obok Domagalskiego wielkie zasługi na polu podnoszenia kultury gminy położył również przewodniczący prezydium GRN ob. Andrzejewski, aktywista i działacz społeczny, człowiek, który potrafi nie tylko opiekować się zespołem teatralnym, ale i — co jest jeszcze więk-



Zespół ochotniczy ZSCH Żerków z „Grzechu” Żeromskiego. Stoją od lewej K. Przemysłowska (Parnien) T. Nawrocki (Anna) M. Domagalski (Kierownik) B. Warchałkiewicz (Aurelia) K. Cierpiszowa. (Ogrodzka). Stoją od lewej J. Injak (Michał) Z. Bontewski (Adwokat) M. Mazurkiewicz (młodszy) murarz) U. Radłowska (Janina) J. Goźdźienka (robotnica) J. Warchałkiewicz (dozorca) St. Gościński (starszy murarz) N. Maluchówna (Wardachowa) Gala (roboćnica) J. Rybacki — reżyser i dekorator (Jaskrowicz) E. Kasprzak (cieśla) Konik (Józef).

ce, którymi się szczycą: Poznań — Opera, Wrocław — Teatry Dramatyczne, Żerków posiada bardzo dołbry zespół amatorski, który pełni tu taką rolę, jak Opera w Poznaniu. I tak powinno być. Mimo pozornego zastój ekonomicznego — miasteczko urosło kulturalnie, poszerzyło swoje horyzonty, nawet obyczajowo jest inne. W miejscowej gospodzie nie spotkasz pijaków.

Zdawałoby się, że pozycja społeczna zespołu teatralnego wyznacza i jego położenie materialne. Tymczasem... Zespół przez długi czas nie posiadał miejsca na zebrania i próby, na rekwizyty teatralne i dekoracje sceniczne. Nie posiadał nawet budy na kołach, jak to bywało za czasów Szekspira. Wynajął salę w prywatnym domu i utrzymuje ją własnym kosztem z dochodów z przedstawień, a nadto pomaga finansowo Komitetowi Rodzicielskiemu szkoły. Przed przedstawieniem członkowie zespołu wypożyczają krzesła dla widzów.

Nie ma w Żerkowie nawet świetlicy gminnej. Nie ma żadnej świetlicy. Bo nie ma na to budynku i miejsca. Kiedy przyjeżdża tu kino lub „Artos” wynajmują salę u ob. Burzynowskiej. Jeżeli nie ma kto postarać się o krzesła — widownie stoją lub siadają na podłodze, albo zjawiają się z własnymi stołkami. Jednak przychodzi, jednak cieszą się z każdego nowego filmu, czy przedstawienia. Starania przewodniczącego prezydium GRN o przydzielenie na świetlicę jednego z baraków przy Ośrodku Sportów Wodnych w Żerkowie, spełży na niczym, choć można było prosić prezydium uwzględnić bez szkody dla Ośrodka Sportowego, podległemu Zarządowi Głównemu Komitetu Wychowawania Fizycznego. Wszystkie podania i petycje utonęły w przepaściach szufladach biurokratów prezydium WRN w Poznaniu. A jednak zespół krzewi kulturę teatralną od blisko pięciu lat mimo złych warunków materialnych i braku opieki przede wszystkim ze strony PRN w Jarocinie.

✱

Wysoka świadomość żerkowickiego chłopca nie jest oczywiście wyłączną zasługą inż. Domagalskiego, choć wkład jego w pracę kulturalną

Na cześć II Zjazdu PZPR

ZOBOWIĄZANIA BIEGONIC

zobowiązujemy się na cześć II Zjazdu PZPR

1) Wyremontować wszystkie narzędzia i maszyny rolnicze tak, aby były gotowe do akcji siewnej do 28 grudnia 1953 r.

2) Wyremontować własnymi środkami scenę świetlicy gromadzkiej.

3) Zapewnić czynny udział wszystkich uczestników z r. 1953 w liczbie 57 kobiet w konkursie hodowlanym na rok 1954 — by zwiększyć hodowlę.

4) Prowadzić celem zwiększenia świadomości i patriotyzmu wśród członków — pracę w IV etapie konkursu czytelnictwa z 350 uczestnikami, którzy już zgłosili się w naszej gromadzie.

5) Wykonać plan kontraktacji w gromadzie w 120 proc.

6) Zakończyć do końca roku przynajmniej 20 kółek miczurinowskich w naszym powiecie, pomóc un w zorganizowaniu pracy, by z wiosną zaczęli prowadzić doświadczenia na polkach.

7) Walczyć bezwzględnie z wrogiem klasowym na wsi, który jeszcze próbując hamować pracę na roli i wrogo stawia chłopów do naszej zwycięzkości.

W okresie zimowym staraniem naszym jest przez szkolenie nabrac doświadczeń w teorii, aby z wiosną przemieścić na pola kółek miczurinowskie, a doświadczenia uzyskane na polkach w roku bieżącym przenieść na pola wszystkich rolników.

Wzywamy wszystkich aktywistów społecznych i kulturalnych do podjęcia naszej pracy na cześć II Zjazdu. Od naszej pracy, naszej aktywności zależy też w dużej mierze realizacja zadań powiatowych przed całym narodem polskim przez nasz Rząd i naszą Partię.

Kierownik świetlicy i kółka miczurinowskiego Eugeniusz Kondziak Biegonice, pow. Nowy Sącz

Trzeba przyspieszyć realizację marzeń żerkowickich chłopów. Powinno być bezwzględnie powołano do życia gminną świetlicę. Przy udziale dotychczasowego aktywnego rozwinięciu się ona w prawdziwą kuźnicę nowej myśli i kultury. Są tu utalentowani i ofiarni ludzie do pracy. Brzmi to wszak paradoksalnie, że Żerków nie posiada żadnej świetlicy, a zespół teatralny mieści się w lokalu wynajętym w prywatnym budynku i zarabia nie tylko na swoje utrzymanie, ale pomaga finansowo Komitetowi Rodzicielskiemu przy miejscowej szkole podstawowej. Nie jest grzechem, że mu pomaga; nawet dobrze, że to czyni; ale przy tym wypacza swoje społeczne zadania, występując w charakterze półprywatnego przedsiębiorstwa rozrywkowego pod patronatem miejscowego Związku Sam. Chłopskiej. Nie może zresztą postępować inaczej z braku opieki ze strony Zarządu Powiatowego ZSCH i Prezydium PRN w Jarocinie. Ludzie w Żerkowie zasługują na większą uwagę, troskę i pomoc — ze względu na osiągnięcia i przyszłość, do której zmierzają.

Teofil Kowalczyk

RYSZARD HŁADKO

Szczawnicki Janosik

W r. 1928 powstał na terenie Szczawnicy młody góralski zespół. Powstał w tym okresie — gdy warunki dla takiego rodzaju przedsięwzięć były szczególnie niepozytywne.

Postępującej opowieści człowieka, który go stworzył — opowieści Michała Słowika.

— Pytacie, jak to się stało, że ja, prosty chłop-samouk wziąłem się za pisanie sztuk scenicznyc? Co mnie pobudziło do ukazania na scenie bohaterskiego Janosika?

mnie zespół, składający się z takich jak ja chłopów-samouków, miłośników książki i sceny. Przez bezinteresowną pracę i niekłamana iskry talentu członkowie zespołu stali się pionierami pienińskiego folkloru, pokazując na scenie bohaterskie życie góralskie piękno ich stroju, pieśni, tańca i gwary góralskiej.*

Tak wygląda początek opowieści Michała Słowika.

Każdy szanujący się gazda w okolicy z politowaniem przyjął do wiadomości, że szczawnicki gołwas, 19-letni ceper, gospodaru-

czynników rządowych przed wszelkim radykalizmem społecznym, skoro skonfiskowano utwor, który nader ostrożnie operował elementami krytyki społecznej. Było jednak w tym wiele racji. Ruiny czorsztyńskiego i niedzickiego zamku, na tle których rozwijała się akcja sztuki, żywo przywoływały na pamięć bohaterskie powstanie Kostki-Napierskiego.

Sztuka Słowika byłaby więc ostatecznie pogrążana w staroświeckich aktach, gdyby nie interwencja słynnego pisarza Jana Wiktorra. Zaopiekował się on zespołem i swoimi staraniami doprowadził do tego, że starostwo złagodziło nieco swoje kryteria, pozwalając w końcu na wystawienie sztuki.

Prapremiera odbyła się — dopiero w 2 lata po napisaniu sztuki — w sali szczawnickiego uzdrowiska. „Janosik — Hetman Zbojnicki” grany był później przez wiele lat w Szczawnicy i okolicach, a po wojnie wystawiany był niemal po całym Podhalu, na scenach Nowego Targu i Nowego Sącza, zdobywając powszechne uznanie, nawet wśród najzawziętszych zwolenników góralskiego izolacjonizmu.

Zespół gra również inne sztuki swego autora, jak „Sobkowe kochanie” i jej obyczajowy odpowiednik „Sobkowe wesela”. Już po wojnie Słowik napisał dalszy ciąg „Janosika” oraz sztukę: „Harnaś Pieniński, czyli prawo pierwszej nocy”.

W bieżącym roku zespół obchodzi 21 rocznicę swojego istnienia. Nawet okupacyjna przerwa, która wywalała z zespołu szereg wartościowych jednostek, nie zdołała go rozbić i zalać. Mógł on bezpośrednio po wojnie wznowić swą działalność, wzmocniony i uzupełniony młodymi, dobrze się zapowiadającymi siłami.

Cennym nabytkiem zespołu jest 29-letni stolarz Stanisław Niezgodą o pełnej wyrazu twarzy, orlim nosie i potężnym głosie. Jeśli dodamy, że jest to polekome zbójnickiej rodziny Wiwów, nikogo nie zdziwi, że z ogromnym powodzeniem gra on rolę głównego bohatera zbójnickiego eposu.

Wśród młodzieży spotykamy i starych znajomych. Maria Salamon — 72-letnia siwiuteńka babcia, (zwana w zespole „ciocią”) nawet w najgorszą zawziętą drepce na każdą próbę.

— „Trzymam się z wami w kupie — mów: — bo wiem, że jak nie daj Boże umrę, wszyscy przyjdziecie na mój pogrzeb”. Patrząc na jej realistyczną, pełną bezpośredniości grę, przekonujemy się, że o jej związku z zespołem decydują przede wszystkim umiłowanie sceny i głębokie wzruszenie, jakie przeżywa na każdym swym występie. Może nigdzie indziej losy odtwarzanych bohaterów nie sprężyły się tak silnie z życiem ich odtwórców, jak właśnie w zespole szczawnickim.

— To ludzie. A ich robota?

Pomówimy o tym w następnym artykule.

Ryszard Hładko

TADEUSZ NOCOŃ

W radzieckim klubie kolchozowym

ROZLEPIONE po wsi, a ręcznie wykonane afisze zapowiadają: dziś odczyt na temat wychowu cieląt, a po odcytcie film produkcji polskiej pt. „Młodość Szopena”. Grupy kolchoźników i kolchożnic przystają przed afiszami i rozmawiają z ożywieniem.

O wyznaczonej godzinie sala odczytowa klubu kolchozowego we wsi Mamoszki na Smoleńszczyźnie jest wypełniona. Na mównicę wchodzi młoda kobieta-agronom i zaczyna mówić. Odczyt jest krótki, czas jego trwania nie przekracza 15 minut. Potem padają pytania, zawiązuje się dyskusja. Ukoronowaniem wieczoru jest piękny film.

W budynku klubu znajduje się biblioteka wiejska i czytelnia czasopism, ma również siedzibę redakcja gazetki ściennej „Komsomol”. Redakcja gazetki pracuje pod przewodnictwem kierownika miejscowej szkoły. Tu mieści się również sala koncertowa i teatralna.

W klubie pracują następujące zespoły: 1) lektorium, 2) zespół teatralny, 3) orkiestra wiejska, 4) chór. Kierownikiem klubu jest Paweł Szedenkow, który koordynuje pracę poszczególnych zespołów i nadaje jej kierunek polityczny.

Trzon pracowników lektorium stanowi inteligencja wiejska: nauczycielstwo miejscowej szkoły, agronom i zootechnik, lekarz. Lektorium posiada bibliotekę rolniczą, prężnie rozwija się fachowe. Klub zaprasza także często do wygłaszania odczytów znanych działaczy polityczno-kulturalnych i agronomów z rejonu i obwodu.

Lektorium jest fundamentem pracy klubu we wsi Mamoszki. Istnieje ścisła współpraca między lektorium, a biblioteką wiejską. Kierownikiem biblioteki jest Zinajda Makarenkowa. Biblioteka liczy 5000 książek. Znajdą pracuje również nie sama. Zorganizowała przy bibliotece aktywną czytelnicę, przede wszystkim z młodzieży komsomolskiej. Każdy z członków aktywno ma oddanych sobie pod opiekę 10 kolchoźników, z którymi utrzymuje ścisły kontakt czytelniczy. Aktywni biblioteki czuwają również nad tym, aby czytelników zainteresować odczytami w lektorium i literaturą fachową. W bibliotece organizuje się z czytelnikami:

- 1) wieczory pytań i odpowiedzi,
 - 2) konkursy zespołowego głosego czytania,
 - 3) wieczory literackie,
 - 4) konferencje czytelnicze.
- Biblioteka prowadzi również specjalną teczkę z wycinkami gazet codziennych o przodujących doświadczeniach w rolnictwie z całego Związku Radzieckiego. Ta teczka służy przede wszystkim jako materiał dla lektorium, które przez odpowiednie prelekcje inspirowane podobne osiągnięcia miejscowych kolchoźników. W ten sposób każda zdobycz agrotechniczna rolnictwa radzieckiego jest podawana do wiadomości chłopów mamoszkańskich i stanowi przedmiot ich rozważań.

Rzadko bywa, aby występ zespołu teatralnego, chóru czy orkiestry nie łączył się z imprezą zorganizowaną przez lektorium czy bibliotekę.

Praca klubów w radzieckiej wsi nie ogranicza się wyłącznie do form wyżej wymienionych. Każde kierownictwo klubu stara się wypracować jakieś nowe rodzaje działalności.

Bardzo ciekawą i pożyteczną nową inicjatywą jest klub sowchozu „Kubań” w kraju krasnodarskim. Z początkiem bież. roku szkolnego zorganizował dla dzieci i rodziców sowchozu wspaniałą, masową wieczornicę. Dzieci przybyły do klubu w kolumnach, z transparentami, na których wypisane były hasła o nauce i roli młodzieży w Kraju Rad. Przybyły również zespoły sportowe i artystyczne dzieci szkolnych. Za nimi — rodzice dzieci. Uczniów szkolnych i rodziców powitali: kierownik klubu oraz przedstawiciele partii i związków zawodowych. Odbył się krótki wiec na temat obowiązków ucznia w szkole. Na wiecu tym przemawiali przedstawiciele partii i związków zawodowych oraz uczniowie poszczególnych klas, którzy wobec przedstawicieli starszego społeczeństwa i rodziców składali zobowiązania do dobrego zachowania w nauce. Po wiecu na miejscowym stadionie sportowym przeprowadzono zawody sportowe klubów dziecięcych. W sali koncertowej klubu sowchozu odbył się konkurs recytatorski dzieci z nagrodami, a następnie koncert zespołów amatorskich tak dziecięcych jak i klubowych. Wystąpiły zespoły mandolinistów i chóry. Wieczorem miał miejsce odczyt kierownikiem szkoły o zadaniach narodu radzieckiego wytyczonych przez XIX Zjazd KPZR. Na zakończenie obchodzone uroczyste jubileusz zasłużonych nauczycieli miejscowej szkoły podstawowej. Ta akcja klubu, spotkała się z serdecznym przyjęciem rodziców, organizacji partyjnych i związków zawodowych, a szczególnie podniosło wrażenie wywołane u dzieci szkolnych.

U nas niewiele świetlic prowadzi systematyczną pracę oświatową kulturalną. Wielu kierowników świetlic nie umie zorganizować tej pracy, wielu nie wie jak ta praca powinna wyglądać rady narodowe słabo interesują się świetlicami gminnymi, a już prawie wcale świetlicami gromadzkimi. Biblioteki gminne czy gromadzkie nie konsultują się z sobą. Często bywa i tak, że świetlica żyje osobno, zespół dramatyczny osobno, a chór osobno. Każdy chciałby być samodzielny gospodarzem na osobno wydzielonym podwórku. Przykład pracy klubów wiejskich na radzieckiej wsi mówi o czym innym. Praca kulturalna — oświatowa na wsi winna być skoncentrowana i ściśle opierać się pod czułą i ścisłą opieką organizacji partyjnych. Trzeba, aby organizacje partyjne tą pracą kierowały i nastawiały ją zgodnie z obecną polityką rządu i partii. A to również jest u nas jeszcze rzadkością.

Przed naszymi świetlicami leży wiele pracy przede wszystkim natury organizacyjnej. Kierownicy świetlic muszą pogłębić swoją wiedzę zawodową, wypracować metody pracy, stworzyć wokół świetlicy aktywny klub, opracować plan roboty kulturalnej i przystąpić do codziennej, nieustępliwie pracy nad jego realizacją. Wzorem powinny być kluby i świetlice radzieckiej wsi. Zespół twórczy w szerokiej masach chłopskich istniejących, talenty drzemają nierozbudzone. Dotychczas „rozbudzanie” to sło od góry od Ministerstwa Kultury i Sztuki, od Zarządu Głównego ZSCh poprzez organizowanie konkursów i festiwalów. Były to jednak imprezy o krótkofalowym tonie — choć bez wątpienia o ogromnym znaczeniu — bo brakowało codziennej szarej pracy tysięcy drobnych aktywistów i działaczy terenowych, którzy są i pozostaną siłą napędową ciągłego wzrostu, drożdżami nieustannego rozwoju.

Nasza wieś czeka na pełniejsze życie kulturalne.

Tadeusz Nocoń

Na podstawie czasopism: Klub, Wolność i Bibliotekar



Zespół szczawnicki w czasie próby nowej sztuki M. Słowika

Nie było mi łatwo. Nie sprzyjały mi ani warunki materialne (byłem synem chłopca, z biedą gospodarującego na 1,98 ra ziemi); na sprzyjało mi też moje niskie wykształcenie: rodziców stać było zaledwie na to, bym ukończył 4 oddziały ludowej szkółki. Ale książka od młodości ciągnęła mnie, jak magnes. Zdobywałem nieraz w ciężkich walkach okrucy wiedzy o literaturze; na górskich pastwiskach, w zimowe noce poznawałem najpiękniejsze dzieła naszych pisarzy. Pokochałem historię naszego narodu. Literatura, historia (zdobywana ukradkiem) chociaż w części zaspokajała mój głód wiedzy. Ale to nie wszystko.

O przeniesieniu przez mnie Janoskowej legendy na scenę zdecydowało to, co siłą rzeczy było wyższe i silniejsze ponad wszelkie przeszkody i niemoce: żarliwe umiłowanie przez mnie rodzimego Podhala, jego folkloru, tradycji i legend. Od dziecka pojągały mnie góralskie pieśni i podania. Słuchałem opowiadań starych gazdów o zbójnikach, którzy chcieli „równać wirchy z dolinami”, którzy walczyli z pańszczyzną przemocą. Słuchałem baśni o „Jęcyhorze” — duchu leśnym. Urzekło mnie wreszcie piękno Janosikowej legendy, legendy o bohaterskim mścicielu krzywdy ludu góralskiego.

Pokochałem tego wielkiego bohatera, który według dawnych podań Dunajec potrafił przeskokować. Legendy te kojarzyły mi się z pięknym gór, wśród których żyłem. Piękno to czarem Pienin i szmerem urwistego Dunajca jeszcze bardziej mnie oczarowało po przeczytaniu dzieł najwybitniejszych piewców naszego regionu: Orkana i Jana Wiktorra.

Widziałem, jak po pierwszej wojnie światowej góralski folklor zaczął zanikać, ustępując miejsca tandencie i kliwicy stylizacji. Milkiły starodawne gadki i melodie; zastąpiono je szlagierami w rodzaju: „jak sem pomasierujem z tu holki sem popier...”, lub przechwałkami o waleczności „kaiser regimentu”, w którym służyłem. Widziałem piękno naszej podhalańskiej kultury, czułem jej ból serdeczny, gdy ginęła. Aby ją uratować, wziąłem w swe niezgrabne ręce pióro. Chciałem zanotować, utrwalić piękno góralskiego folkloru i tradycji. Tak oto powstał „Janosik — hetman Zbojnicki”.

Z początku szło mi ciężko. Nic się nie kleiło. Nadmiar złego robilem mnóstwo błędów ortograficznych. Często przeżywałem okresy bolesnej rezygnacji. Rzuciłem wtedy pióro i papier i szedłem w Pieniny.

Tam co krok spotykałem wytworne odzianych kuracjuszy, zachycających się pięknem Szczawnicy. Byli oni mimowolnym bodźcem dla mego słabnącego zapалу. Zaprzagnąłem gorąco pokazać im, że piękno regionu pienińskiego — to nie tylko Dunajec, nie tylko parki i zdrowie, lecz przede wszystkim piękno góralskiej kultury ludowej, surowe życie i trudna walka góralskiego ludu, który przez wieki bronił swego prawa do życia.

Chciałem pomóc w tej walce i dlatego zacząłem pisać moją sztukę. Temat jej wiąże się ściśle z moimi rodzinnymi stronami. Pisałem o bohaterskich czynach hetmana uciemięzonego ludu, Pisałem o jego wiernych towarzyszach, walczących z przemocą i uciskiem możnych. Chciałem w mojej sztuce zamknąć bohaterskie dzieje góralszczyzny — i od szeregu lat pełni ona tę rolę z powodzeniem.

W pracy swojej znalazłem wiernych towarzyszy. Skupił się wokół

jęcy na półtora hektara piargu. Michał Słowik, co nawet 4 klas „powszechnej” nie ukończył — odważył się napisać sztukę o zbójnickiej legendzie. Wszyscy byli zgodni co do tego, że chłopiec jest zdolny, oczytany, światły. Przepowiadali mi piękną przyszłość. Ale to, co zrobił, poczytywano mu za profanację. W owym okresie każda chałupa troskliwe pielęgnowała góralskie obyczaje i góralskie legendy, wśród których Janosikowe mity zajmowały wyjątkowo uprzywilejowaną pozycję. Ale dumne przekonanie o zdecydowanej odrębności własnej tradycji rozdziło w góralach niezdrówę chęci zamykania się we własnym kręgu przyzwyczajęń. Bardzo niechętnie powierzały swa kłechę postronnym osobom. „Janosik — Hetman Zbojnicki” Słowika otwierał te niepożądaną perspektywę, bo przecież sztuk nie pisze się gwoli własnej satysfakcji, lecz na scenę. A gdzieżby indziej mógł Słowik ja wystawić, jak nie w Szczawnicy, będącej już wtedy znanym uzdrowiskiem!

Gazdowe obawy były jednak przedczesne: Szczawnica nie posiadała przecież żadnego zespołu; nie było komu zagrać Słowikowej sztuki. Było tylko jedno wyjście: stworzenie własnego zespołu. Słowikowi chodziło o wystawienie jednej, jedynej sztuki. Chciał w przeciwieństwie do gaźdźziny konserwatywno, aby sztuka ludu podhalańskiego, jego pieśń i legenda, tradycje i zwyczaje — dotarły do jak największych mas, by rozlały się szeroko po całym kraju.

Przyszło mi z pomocą ówczesny komendant Straży Pożarnej w Szczawnicy, zapalony wielbiciel i odtwórca góralskiego folkloru, Paweł Majerczak. Sam wziął się do kompletowania zespołu. Trudna to była praca. Bogatsi chłopcy zobjętowali werbunek. Na szczyście w zespole znaleźli się najbardziej, co miało swój zbawienny wpływ na długoletnią jego pracę.

Spojrzyjmy na ludzi, którzy w nim pracują.

Znalazł się tu przede wszystkim Franciszek Dziedzina, (popularnie zwany „Staszkiem”) obecny pracownik PKS (pomocnik szofera) potomek zbójnickiego rodu „Wiwów” — o surowym wyrazie twarzy i dośnośnym gardłowym głosie. Zewnętrzny jego wygląd sprawił, że od samego początku kreował rolę głównych przedstawicieli zbójnickiego rzemiosła.

Chętnie przyglądał do kompanii 2-hektarowy rolnik Władysław Czaja oraz robotnik Władysław Dominik — dzisiejszy kierownik zespołu. Jednym z najsympatyczniejszych „nabytków” jest Maria Salamon. Jest ona jedną z najpiękniejszych, obecnie najstarsza, bo 72-letnią artystką. Po stracie męża w czasie I wojny światowej w zespole znalazła drugi dom rodzinny. Staruszką jest przykładem gorącej miłości chłopskiego serca dla sceny i sztuki, celując w punktualności i dokładnym opracowywaniu ról. Jej przykład wychowuje młodszych artystów.

Powróćmy jednak do autora, do dziejów jego sztuki. Kiedy próby szły już w najlepsze, Słowik otrzymał nagle ze starostwa polecenie dostarczenia egzemplarza sztuki do ocenzurowania. Dalsze próby zostały zawieszono do czasu ogłoszenia decyzji starostwa. (To torwrs z gazdów, nie mogąc ścierpieć Słowikowej samowoli, doniósł władzom o jego „przestępstwie”).

Starostwo, po skrupulatnym przeliczeniu sztuki doszło do przekonania, że jest to „czerwona propaganda” — i zabroniło jej wystawienia. Wielkim musiał być strach

CZESŁAW SCHABOWSKI

PIERWSI SPRZYMIERZENCY

Rano gruchnęła po wsi pogłoska, że Golińskiemu, który wczoraj wieczór przygotował wóz z ziarnem do młyna, skradł ktoś w noc czertery worki żyta ogólnej wagi trzysta kg.

W południe znalezione wszystkie worki w piwnicy pod świetlicą. Piwnice nie mają jeszcze drzwi i łatwo było się do ich ciemnic dostać.

Wieczorem poszedł do mnie zetem-powcy — Kowalczyk, Kopiński, Perdik, Marchewka. „Kopa” rzekł: — Niech pan nie myśli, że ktoś z nas uwierzył, aby pan rąbnął te worki. Nie, tylko kudak chce z pana zrobić złodzieja. Widzi pan? Musimy się ostro wzać do roboty!

Odwiedził mnie również Bartoszewski i Sionkowski. — Trzeba uderzyć korespondencjami w pijaków! — rzekł Bartoszewski. — Kto wie, czy to nie wódka pomaga „figlarzom!”. W piątek bądżcie na zebraniu w Komitecie; przedziemy się po przeydium za „Józefa”.

Już słyszałem od chłopców, że 19 marca były popijawy w przeydium, w GS-ie, u Golińskiego. Pili od rana nie bacząc na dyscyplinę pracy.

6.IV. Idąc na zebranie, które zwoła-no już na czwartek wstąpiłem po chleb do spółdzielni. Zastałem tutaj podpitych: Rysia, przewodniczącego koła ZSL, Salejda, kierownika CUSIK-u przeydium oraz Golińskiego i Halaszkiewicza. Ledwo mi się zjawił przy ladzie, Salejda, obrzytm, lekko się zataczając pokazał na rząd butelek na półkach i rzekł do mnie prowokująco: — No, a powiedz pan, że książkę można by za to kupić?

Czując zaczepkę, starałem się opano wać nerwy, które zaczynały mnie ponosić. Pusiłem więc mimo uszu słowa pijaka. Ten zaś nie dając za wygraną, rąbnął pięścią w kontuar i huknął: — A ja mówię, że ta cała wasza kultura nie warta!

To mnie uspokoiło.

— A wy, co macie po swoim prazdiadku? — zapytałem zienacka. — Ludzie trzymający butelki od piwa w rękach otoczyli nas kołem. Na moje odezwanie się przestano podciągać z fiaskiem, zatrzymawszy je w drodze do gęb, gdzie w okolicy pepków Tylko Salejda podniósł swoją butelkę bliżej ust.

— No, no, panie chojrak! — mówię szczerdzo — niech pan nie zatyka ge-

by spirytusem, lecz niech pan odpowiada na moje pytanie!

— Widzita go, chłopcy? Prorok! Wróć! Na piwo mówię spirytus!

— „Piwo” — powiedzie temu dziecku — pokazuje jakiegoś mikro-sa, który wszedł do sklepu prosiąc drożdży. — A mnie od razu można rzec, że jest to spirytus pół na pół z piwem i we flasce od piwa. Aby, gdy wędzicie na ten przykład korespondent lub Bartoszewski, myśleli oni, że panowie Goliński, Salejda i Rys — raczą się skromnym piwkiem... ha, ha!

Salejda nie wiele myśląc przytknął butelkę do ust, zaczął pić aż gulgotało. Za jego przykładem poszła reszta wesolego towarzystwa, co uczyniwszy, spojrzano na mnie bardziej jeszcze nieprzyjzjaśnie. A Rys, patrząc zamglonymi oczami, rzekł napastliwie:

Salejda zaś odparł: — Piłem, piję i pił będę. Jak długo rząd sprzedaje wódkę, tak długo przyjemności picia się nie odmówię!

— Jesteście kierownikiem CUSIK. Jesteście przedstawicielem państwa i jako taki macie zachowywać się w pracy i poza nią jak człowiek, a nie jak bydle! — rzekł znów poirytowany Sionkowski. — Jeśli wam mało tego, to proszę, jeszcze dodajemy: stawiłicie po pijanemu banki swemu dziecku, rozlałicie mu denaturat na plechak, zapaliło się to i dziecko ciężko poparzone leży w szpitalu! Mało wam?

Salejda spuścił głowę. — Zostawcie mnie w spokoju. — Dopoki nie zmienicie swej postawy, w spokoju was nie zostawiłmy! — odparł przedstawiciel KP. — Partia jest cierpliwa, ale gdy się ta cierpliwość skończy, przestaniemy was niańczyć!

Po zebraniu ogólnym bezpartyjni poszli, egzekutywa zaś jeszcze raz zająła się Bińczakiem: zostanie on wezwany na egzekutywę KP i niech się nie spodziewa, że go tam poglaskają.

9.IV. Po czwartkowym zebraniu niemal wszyscy moi przeciwnicy stali się gorącymi „przyjaciółmi”: Goliński kłania mi się bardzo grzecznie i namawia, abym wziął działkę, a on mi ją obśadzi za darmo. Bińczak rad by nieba przychylić, a Rys zawsze ścisła mi rękę bardzo serdecznie, przytzymuje moją dłoń w obu swych



Z pamiętnika kierownika świetlicy (2)

grzmiał, nie groził, ale w ostrych słowach zauważał, że przedstawicielom władzy ludowej nie przystoi takim przykładem świecić Imiennie pokazal na każdego z tych, którzy zbyt często upijają się, zwłaszcza podczas godzin urzędowania.

Po nim zabierali głos „oskarżeni”. Bińczak bil się w pierś i niemal ze łzami w oczach mówił że przytrafiło mu się to ostatni raz i grzechu takiego nigdy nie powtórzę: Rys aspiraw-edliwiał się dość mętnie, ale przyznał, że istotnie nie przystoi, aby członek zarządu GS-u oraz przewodniczący koła ZSL w jednej osobie, prowadził takie życie; Tomczyk Konstanty instruktor rolny przeydium rzekł krótko: — Jeżeli jeszcze raz ktokolwiek mnie zobaczy w takim stanie (mówię to przy tyłu znacznych świadkach) pozwalam mu z góry i bez zastrzeżeń wyprać mnie po pysku!

Salejda nie wiele myśląc przytknął butelkę do ust, zaczął pić aż gulgotało. Za jego przykładem poszła reszta wesolego towarzystwa, co uczyniwszy, spojrzano na mnie bardziej jeszcze nieprzyjzjaśnie. A Rys, patrząc zamglonymi oczami, rzekł napastliwie:

Salejda zaś odparł: — Piłem, piję i pił będę. Jak długo rząd sprzedaje wódkę, tak długo przyjemności picia się nie odmówię!

Jesteście kierownikiem CUSIK. Jesteście przedstawicielem państwa i jako taki macie zachowywać się w pracy i poza nią jak człowiek, a nie jak bydle! — rzekł znów poirytowany Sionkowski. — Jeśli wam mało tego, to proszę, jeszcze dodajemy: stawiłicie po pijanemu banki swemu dziecku, rozlałicie mu denaturat na plechak, zapaliło się to i dziecko ciężko poparzone leży w szpitalu! Mało wam?

Salejda spuścił głowę. — Zostawcie mnie w spokoju. — Dopoki nie zmienicie swej postawy, w spokoju was nie zostawiłmy! — odparł przedstawiciel KP. — Partia jest cierpliwa, ale gdy się ta cierpliwość skończy, przestaniemy was niańczyć!

Po zebraniu ogólnym bezpartyjni poszli, egzekutywa zaś jeszcze raz zająła się Bińczakiem: zostanie on wezwany na egzekutywę KP i niech się nie spodziewa, że go tam poglaskają.

9.IV. Po czwartkowym zebraniu niemal wszyscy moi przeciwnicy stali się gorącymi „przyjaciółmi”: Goliński kłania mi się bardzo grzecznie i namawia, abym wziął działkę, a on mi ją obśadzi za darmo. Bińczak rad by nieba przychylić, a Rys zawsze ścisła mi rękę bardzo serdecznie, przytzymuje moją dłoń w obu swych

dłoniach i stale powtarza jedno i to samo: — Widać, żeś pan korespondent! Tak, jak pan zalał sadza za skórę Salejdzie — tylko korespondent potrafi! Nie mogę tylko pojąć, dlaczego pan z takimi talentami u nas się pęta? Pustkowie, brak wygód, wygnanie, męka z wodą, męka z węglem, męka z gotowaniem! I po co, po co? Ja tak... ze szczerego serca! No, na języki — nikt już z panem nie zaczyna.

10.IV. Cóż z tego: ani Rys, ani Bińczak, ani Tomczyk, ani nikt z tutejszych wpływowych nie pomaga w pracy i z frekwencją jest coraz gorzej, a co tu mówić o zakładaniu zespołów? Zresztą nie przychodzi do świetlicy ani Sionkowski, ani Bartoszewski. Temu ostatniemu się nie dziwię: do Chorzewa ma cztery kilometry i po ciemku boi się wracać, gdyż — powtarzając jego słowa — „można oberwać kamieniem od łobuzów”.

12.IV. Nie przychodzi do świetlicy i tutejsi partyjni. A ile bym ciekawych rzeczy mógł im przekazać! Zresztą co się dziwić, skoro i ze szkoleniem ideologicznym jest to samo: ma się ono odbywać w każdej niedzielę przed południem w lokalu Komitetu i też nic z tego. Przyjdę ja, Popczyk, Bartoszewski, Sionkowski i wszystkie, Nawet Popczyk, prowadzący szkolenie, przepada najczęściej. Usprawiedliwia się tym, że prowadzi zespół teatralny i skoro tylko wystawi „Jowińskiego”, a „przekaze” zespół świetlicy — będzie miał więcej czasu i szkolenie podciągnie.

Agitator z Łodzi tow. Słezak dwój się i trój wraz z Bartoszewskim, aby zmontować Komitet Założycielski, przepada na całe doby go gromadach w poszukiwaniu odpowiedniego materiału ludzkiego i też do świetlicy zajrzed nie ma czasu. Tak więc jestem pozostawiony sam sobie, na pomoc kogokolwiek liczyć nie można.

Corze, iż rządzących świetlicą jest coraz więcej. Wpadł dziś instruktor z Zarządu Powiatowego ZMP i żądał, aby co najmniej raz w tygodniu odbywały się pogawianki o ZMP! Niech zostanie na wieczór, niech spróbuje! A dopiero na godzinę przed jego przyjazdem był delegat Towarzystwa Wiedzy Powszechnej i postuluwał, żeby naszą świetlicę natychmiast włączyć w ich akcję!

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Dyskusja nad książką



Sąd nad chłopami — scena na ganku pańskiego dworu.

Zamieszczone rysunki wykonał Tymofiej Tichonuk — 45-letni rolnik spółdzielca ze wsi Kojły, pow. Hajnówka, Ludowy artysta przeczytał książkę Rymkiewicza „Rycerze i ciury” i swoimi ilustracjami włączył się do dyskusji nad powieścią.

Pomógł mi Rymkiewicz

LEKTURA książki Władysława Rymkiewicza przyniosła mi bardzo wiele korzyści. Jest to bowiem ten typ powieści historycznej, która dopomaga rozumieć współczesność. Poznałem w pierwszym rzędzie stosunki na feudalnej wsi; silniej niż dotąd zniechęcałem tych, którzy dla własnego zysku wyprzedawali Szwedom Polskę, urządzali huczne polowania. Jak Jan Kazimierz, kiedy wróg pustoszył kraj. Mielśmy takich w swej ojczyźnie do roku 1939. Także zdradzili kraj w chwili, kiedy należało organizować obronę. Mielśmy zdrajców w rodzaju Mikołajczyka, Andersa czy Zaleskiego, którzy zaprzękali się kapitałowi w chwili, gdy naród dźwigał swój umiłowany kraj z ruin. Książka „Rycerze i ciury” wykazała mi, że dzisiejsi zdrajcy to po prostu następcy szlachcica Pomaskiego.

Osobne i wcale nie uboczne zagadnienie do dyskusji, jakie narzuca się z powieści „Rycerze i ciury” — to sprawa przysądu. Można będzie wykazać, że przez ciemnotę i zabobony, które panowały na wsi, cierpiało i ginęło wielu niewinnych ludzi, jak np. Hanka Wójcówna. Zagadnienie krzywdy społecznej, postaram się zbliżyć do ludzi. Omówię więc zagadnienie: o ile zmienił się pański wyzysk od czasów Michałka do dzisiejszych lat moich chłopskich czytelników? Cenne w tej dyskusji będą zwłaszcza głosy starych chłopów.

Na zakończenie dyskusji zbierzemy najciekawsze głosy i prześlemy je autorowi. Na pewno mi się przydadzą. Najlepsze prześlemy do redakcji „Wsi”.

Stanisław Kostecki

Rycerze czy ciury?

JAKO nauczycielka historii przeczytałam książkę W. Rymkiewicza szczególnie silnie. My historycy mamy szczególny szacunek dla tego, co można nazwać prawdą historyczną. Tę właśnie prawdę o pewnym okresie dziejów narodu przedstawił autor w sposób pełny, podkreślając właśnie te momenty, które burżuazyjna historiografia starała się ukryć.

Myślę, że książka ta powinna być upowszechniona wśród młodzieży, szczególnie licealnej. Młodzież uzyska dzięki niej jasny obraz stosunków społecznych okresu najazdu szwedzkiego i głębiej zrozumie podstawy ówczesnego ustroju. Nauczyciele powinni wykorzystać jej treść celem wzbogacenia swoich wykładów. Powieść ta z pewnością wywoła wiele pożytecznych dyskusji w szkole.

Autor pokazuje nam przede wszystkim budzenie się i wzrost świadomości społecznej i politycznej chłopstwa. I to w najtragiczniejszym momencie. Właśnie w okresie zagrożenia niepodległości chłop dokumentuje swoją przynależność do narodu. Obserwowałam uważnie widoczny w powieści wzrost świadomości chłopskiej. Nie kto inny, ale właśnie chłopci zasłużyli sobie na miano prawdziwych rycerzy, natomiast „rycerstwo” można z czystym sumieniem nazwać „ciurami” pilnującymi wąskich klasowych interesów. To nie „rycerstwo”, zy-

skuje sympatię i podziw czytelnika, lecz właśnie pogardzane na kartach burżuazyjnego podręcznika historii — „ciury”. Wydaje mi się, że tytuł książki, jest jakby ironicznym pytaniem, na które czytelnik w treści książki znajduje odpowiedź.

My historycy zawsze mamy trudności z przedstawieniem moralno-obyczajowego życia feudalnej szlachty. Jakże nam pomoże książka Rymkiewicza! Widzimy w niej prawdziwe oblicze dworów magnackich, przekupstwo i zakłamanie, chęć blizszenia i życia ponad stan.

Specjalne znaczenie wychowawcze książki polega nie tylko na pokazaniu prawdy historycznej, ale i na tym, że widzimy w niej pozytywnego bohatera. Jest nim Michałko, postać niezwykle sugestywna, w sposób typowy pokazująca wzrost świadomości narodowej chłopstwa polskiego. Nie można przecież zapominać, że chłopcy to buntacy i powstaniacy o charakterze klasowym, umieli w chwili zagrożenia postawić w pierwszym miejscu interes ogólnonarodowy.

Jednym z tych jest właśnie Michałko. Do niewątpliwych zasług autora należy m. in. fakt, że z krótkich i nielicznych dokumentów historycznych potrafił stworzyć ciekawego, ludzkiego bohatera powieści, który walczy, cierpi i kocha, i który nie z samych zalet się składa ale i wad.

Alfreda Pacześ

ALICJA LISIECKA

Kochanowski żywy dla wsi

ROK 1953. Lato. W jednej z ma-zowickich wsi młodzieżowy zespół świetlicowy przygotowuje się do wielkiej ludowej uroczystości „Wianków”. Kierownik świetlicy — młody nauczyciel reżyseruje trudne widowisko oparte na tekście „Sobótka” Jana Kochanowskiego, tekście opracowanym specjalnie dla zespołów pieśni i tańca, a wydanym w „adaptacji” Danuty Kwapińskiej przez departament imprez artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Kłopotów jest z tym widowiskiem sporo. Potrzebna „kapela” i zespół taneczny — i „miejsce” na polanie leśnej. O to ostatnie zresztą najłatwiej. Niedużą trudność stanowi również zdobycie pięknych, koniecznych regionalnych strojów dla członków zespołu. Gorzej wygląda sprawa recytacji. Przecież to Kochanowski! A dziewczęta ani rusz nie chcą zrozumieć, że trzeba recytować wolno i wyraźnie: polykają ostatnie sylaby i chichoczą. Spiew wychodzi dużo lepiej — ale najchętniej tańce.

„Gdy słońce Raka zagrzewa, A słowik więcej nie śpiewa — Sobótkę jako czas niesie Zapalono w Czarnym Lesie...”

Już w pierwszych utworach Kochanowskiego formują się ideeowe podstawy późniejszego światopoglądu poety, światopoglądu antyklerykalnego, świeckiego, ukstałowanego w wirze walk religijnych reformacji i rozgrywek polityki dworskiej. Druga połowa XVI wieku przynosi zaostrenie feudalnego konfliktu między chłopem i szlachcicem. Przynosi wzrost ucisku i wyzysku z jednej strony — i antyfeudalny protest postępowej części szlachty z Modrzewskim na czele — z drugiej.

Lata te są — jak pisze J. Ziomek — ostatnim aktem egzystencji pozytywnego bohatera szlacheckiego. Zastąpi go później nowym wybranym wzorem osobowym epoki — radykalna literatura sowidrzalska.

Antagonizmy i rozgrywki tej największej „ery” postępowego piśmiennictwa szlacheckiego skupiają w sobie twórczość typowego reprezentanta epoki — wielkiego humanisty i bojownika o interesy ogólnie — narodowe, Jana Kochanowskiego.

Twórczość ta, nawiązująca do najlepszych tradycji kultury rodzimej i antycznej, czerpiąca z dorobku polskiej pieśni ludowej i odzwierciedlająca żywy bieg spraw, codzienną problematykę życia narodu — stanowi przezwyciężenie dworskich kanonów myślowych konwencjonalnej sielanki okresu kontrreformacji.

Punktem zwrotnym w twórczości Kochanowskiego jest rok 1574 (trudno zresztą dokładnie ustalić datę), w którym ukazuje się „Sobótka”. Zapowiadała ona ostatecznie „Przymówka chłopską” czerpiącą z zasobów mowy potocznej i zawierającą akcenty satyry o wyraźnym sprecyzowanym adresie politycznym:

„Piżmo, wiodarzu!” — „Panie, jużem podpłót sobie!”



„Piż ty przedstę!” — „Dziękuję Jako panu tobie! Mało już nie mam za swe, a człowiek się boi, By słówkiem nie wyleciał, co wiec chmiel rad broi?” „Piż ty, wiodarzu, i mów, co się będzie zdało”. Prosto, hajo za naszych ojców wice bywało”. „Tak-ci bywało, panie, piżaliśmy z sobą, Ani gardził pan kmiotka swojego osobę Dziś wszystko już inaczej; wszystko spoważniało; Jako mówią: postawy dosyć, walcu ma”.

Dopiero jednak pieśń świętojańska o „Sobótce” stanowi pełne podsumowanie doświadczeń ludowej poezji, do której sięgał „gazda czarnoleski” — jak po młodopolsku nazywała Kochanowskiego historiografia burżuazyjna.

Starodawny słowiański obrzęd „Kupały” miał bogatą tradycję obyczajową w polskiej wsi. Radosny i świecki — wbrew woli Kościoła, próbując „ureligijnąć” to pogańskie święto — pelen swobody i radości obchód dotrwał w swej doświadczonej postaci aż do naszych czasów. Obserwujący go z szlacheckiego dworku poeta czarnoleski dostrzegł, mimo sarkau ze strony kleru i magnatów, świeżą urodę.

„Spiewają diabelskie pieśni, piugawe, tańczące” — pisał w 1595 roku Marcin z Urzędowa w „Herbarzu Polskim”. A oto Kochanowski:

„A teraz ten wiecior sławny Świećmy jako zwyczaj dawny, Niecąc ognie do swianta, Nie bez pieśni, nie bez grania”

„Sobótka”, to ulubiony motyw twórczości polskich romantyków: Go. szczyńskiego, Kraszewskiego, Zmorzkiego i Pola. Oni też zapoczątkowali przeszło wiekowy spór o „ludowość” pieśni o Sobótce Kochanowskiego. Ta zbieżność zainteresowań nie jest bynajmniej przypadkowa. Źródłem ludowości „Sobótki” Kochanowskiego, podobnie jak ludowości romantyków, były pieśni i „porzekadła” wsi polskiej.

Specjalnym rozszyfrowaniem zbieżności motywów „Sobótki” Kochanowskiego z motywami pieśni ludowych zajmował się Al. Bruckner, który ustalił w wielu wypad-

kach paralelnie sformułowań i dał leko idące podobieństwa. Także Adalberg w swoich przysłówkach cytując Kochanowskiego jako przyjęte od poety porzekadło. „A kiedy cie pocałuje, Trzy dni w gębie cukier czuje (PannaX) W okolicach Poznania znany jest inny przysówek, zbliżony do dwuwiersza Kochanowskiego:

„Jakem jedną pocałował, Trzy latam się obliżował”.

We wspaniałym cyklu pieśni od-twarza poeta w żywym, jednym języku troski i radości, miłość i nienawiść, obyczaj i atmosferę polskiej wsi szesnastowiecznej. Realizm pieśni erotycznych, akcenty krytyki i nienawiści wobec „wynalazców srogiej strzelby piorunowej”, sprawców wojen:

(„Jakie ludzkie głupie sprawy Szukac śmierci przez boj krwawy.

Bodaj wszystkich mąk skosztował, Kto naprzód wojsko szykował — Panna VIII)

Oto główne osiągnięcia „Sobótki” Kochanowskiego.

Znajdujemy w niej zresztą także echa osobistych przeżyć poety: pochwałę Doroty, włożoną w usta jednej z dziewcząt oraz Horacjaną apologię — „Wsi spokojnej, wsi wesolej” będącej dla Kochanowskiego — podobnie jak dla mistrza antycznej pejży — synonimem niezależności od „pysznych możnowładców”, „Sobótka” ukazuje Kochanowskiego, jako odkrywcę nie konwencjonalnego, realistycznego krajobrazu wiejskiego. Poeta szuka potwierdzenia swoich i „panien” stanów duszy w obrazie przyrody czy pracy.

Gorące dni nastawała, Suche — nie padaja Polny szwierzcz, co głosu staje Gwałtownemu słońcu...

Już mdle bydo szuka cienia I ciekawego strumienia, I pasterze chodzą za niem, Budzą lasy wojnow granien”.

I w tym jednak, pełnym pogody i afirmacji życia śpiewie brzmią nuty pesymizmu i melancholii, nie tylko wtedy, kiedy dziewczyna oplakuje straconego kochanka. Panna IX mówi:

„Ja płacę, a żal zakryty, Mnoży we mnie plack obfity. Spiewa wieżeń okowany, Tajac na czas wnetrzej rany.

Spiewa żęgiar, w cudze strony Nagłym wiatrem zaniestony; I oracz uboim się spiewa, Choć od pracej aż odmiewa”.

Wycieczka kobiet wiejskich, prze-bijająca w Warszawie, postanowiła zobaczyć sztukę M. Maliszewskiego „Droga do Czarnolasu”. Na scenie ukazał się Kochanowski żywy. Kochanowski inny niż siedzący pod lipą, zapartyżony w dal — symbol poety oderwanego od życia i spraw swojej epoki. Być może były to kobiety z tej samej wsi, która potem oglądały w sztuce wystawionej przez świetlicowy zespół pieśni i tańca. Jeżeli tak — na pewno Kochanowski objawił im się po raz wtóry. Tym razem — jako poeta żywy dla wsi.

Alicja Lisiecka

FRANCISZEK FREJ

W obronie uczennicy

JESTEM stałym czytelnikiem „Wsi”. Tygodnik wasz czytają także moi uczniowie. Problematyka poruszana w czasopiśmie pomaga nam w nauce i wychowaniu młodzieży, szczególnie — nauczycielom pracującym na wsi i w miastach powiatowych.

Zabieram głos w obronie uczennicy, córki chłopca z gminy Mokre, pow. Głubczyce, województwa opolskiego. Do napisania tych słów ośmieliła mnie notatka krytyczna o eliminacjach Konkursu Recytatorów na terenie Poznania, drukowana w 48 numerze „Wsi”.

Jestem miłośnikiem pięknego, żywego słowa. Kult dla piękna mowy i literatury ojczystej staram się rozbudzić w naszej młodzieży. Szkoła ogólnokształcąca w Głubczycach, w której pracuję, ma za sobą wcale pokaźne sukcesy na polu recytacji. Dość będzie wspomnieć, że sprowadzamy nieustannie najlepszych recytatorów polskich, dyskutujemy wspólnie nad sztuką pięknego, sugestywnego mówienia. W roku 1949 na konkursie stalnogradzkim, poświęconym poezji Mickiewicza i Puszkina, uczennica nasza Kapturówna zdobyła 2-gie miejsce, wyprzedzając 168 współzawodników.

Również i do I-go Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów przygotowaliśmy się sumiennie. Do eliminacji wojewódzkich doszły trzy nasze uczennice, do centralnych — jedna, Wawro Julia. Wyjazd do Warszawy, naszej kochanej stolicy, o której tyle w naszej szkole mówimy, był zarówno dla młodzieży, szczególnie zaś dla młodej deklamatorki, jak i dla mnie — nauczyciela, wielkim przeżyciem. Uczestnicy finałów z Opolskiego jechali całą noc w zatłoczonym pociągu, następnie 13 godzin czekali na swoją kolejkę. Recytacje rozpoczęły się 23.XI o godzinie 10-tej. Do 18,30 deklamowali wyłącznie przedstawiciele Warszawy i województwa, którzy przybyli na salę niezmecczeni, bez długiego i wyczerpującego oczekania. Chodził mi przede wszystkim o młodzież szkolną, która 12 godzin spędziła w podróży, 13-cie zaś wczekiwała na swój występ.

Alfreda Pacześ

Sąd Konkursowy pozwolił recytatorom z Warszawy deklamować utwory do końca, poszczęśliło się jeszcze przedstawicielom Gdańska. Natomiast czas mówienia młodzieży ze Stalnego i Opola wyraźnie ograniczono. Wystarczyło sądowni zazwyczaj kilka pierwszych zwrotek. Dla przykładu podaję, że ruty-nowanemu aktorowi pozwolono od-czytać prawie całe opowiadanie Zeromskiego pt.: „Zapomnienie”. a równocześnie młodzieży przerywano po trzech zwrotekach.

Młodzież szkolna wymaga więcej serca. I to nie tylko dlatego, że się może spieszyć z racji wieku i braku doświadczenia, ale i dlatego, że głębiej niż „stare wygi” prze-żywała zetknięcie się z pięknem poezji. Opolanie występowało po godzinie 20-tej, kiedy na sali siedzieli już tylko kilkanaście osób a całą atmosfera była niezwykle senna. Nikt z naszych przedstawicieli nie zadeklamował całego utworu.

Na wysłuchanie przedstawiciela Warszawy przeznaczano średnio 16 minut, młodzieży z Gdańska, Opola i Stalnego słuchano przeciętnie — po 7 minut.

Przypominam sobie powiatowe eliminacje recytatorów urządzane w Związku Radzieckim na terenie miasta Kolomyi. Sąd pracował także 12 godzin na dobie, ale wysłuchano wszystkich cierpliwie, z usmiechem, nie ujawniając zmęczenia. Julia Wawro mówiła po godzinie 21-tej, blada, przemęczona i senna Toż to prawie dziecko! Miała recytować „Balladę o pierwszym batalionie” Szenwolda. Utwór — jak wiadomo — liczy 12 strof — 72 wersze. Po wygłoszeniu 2 strof, czyli 12 wierszy, podziękowano jej Odczułem jako krzywdę wyrządzonej uczennicy i poprosiłem z salą, by pozwolono jej dokończyć. Być może nie było to tądnie z mojej strony, ale jakże milcząc, kiedy przed chwilą pozwolono aktorowi odczytać prawie całe opowiadanie Zeromskiego? Oświadczone mi, że jury posiada dostatecznie doświadczenie, by po 12-tu werszach osądzić walory recytatora. Dodano przy tej okazji że „Ballada” deklamowana już dwa razy. No, niezu-

pełnie, gdyż był to rzeczywiste dwukrotnie powtarzany, ale inny zespół poety pt. „Czerwona Armia”.

Jak wiadomo recytacje ocenia się ze względu na dykcję, głos (barwa, czystość) interpretację i ogólny wyraz artystyczny. Tych wartości na podstawie wysłuchania 12-tu wierszy ocenić chyba nie można. Przecież „Ballada” to niesłychanie bogaty utwór. Jest w nim namalowany krajobraz, to w którym rozegrała się bitwa, przelobitewne nastroje, świetna charakterystyka bojowej postawy Kościuszki kowców, wspaniały opis natarcia czołgów. Momenty emocjonalne wiersza widoczne są dopiero w dalszych strofach, kiedy występuje u naszych żołnierzy wielka wola zwycięstwa, poparta świadomością polityczną, kiedy Kościuszkowcy dostrzegają szlak swoich bitew, jako jedyną drogę powrotu do ukochanej ojczyzny. Tak więc wielki wysiłek chłopskiego dziecka poszedł na marne.

Narzucają mi się takie uwagi: to, że nasi młodzi uczestnicy odpadli, stanowi rzecz drugorzędna. Sąd Konkursowy istotnie recytatorów, moim zdaniem, ocenił recytatorów. Ale — zastanówmy się tylko — było masę ambitnej młodzieży. Należało choć krótko ocenić dorobek, wytknąć najważniejsze wady i podkreślić zalety, aby młodzi mogli wyjechać w teren wzbogaceni o instruktaż tak bardzo nam wszystkim potrzebny. Szczególnie tym, którzy popularyzują sztukę deklamacji w miastach i wsiach. Przecież recytacja to jedna z najbardziej przekonujących form agitacji. Należałoby poprosić najbardziej doświadczonych recytatorów o urządzenie małych odpraw z grupami młodych. Jest to rzecz jeszcze do zrobienia. Laureaci eliminacji centralnych i wojewódzkich powinni teraz ruszyć w teren. I to nie tylko po to, aby budzić zamiatowanie do języka ojczyścigo, dobywać z niego całe bogactwo i piękno, ale również dla przekazania doświadczeń tego rodzaju młodzieży, jak uczennica naszego zakładu — Wawro Julia.

Franciszek Frej



Wyrok i wzięcie. Rys. T. Tichonuk

LUDOMIR RUBACH

TRAKTORZYŚCI IDĄ DO KINA

Parterowe szaro-żółte miasteczko Radymno. Jasna plama na tle zielono-szarych pól i ról przeciętych smugą szczy, łączącą Jarosław z Przemysłem. Przy szosie u wylotu miasteczka, jeszcze jeden ostatni już żółty budynek, niepodobny do domów mieszkalnych. Coś jakby remiza strażacka albo laznia miejska. To Dom Kultury.

Niedzielne wczesne popołudnie. Na placu przed Domem Kultury — gromada wyrostków, dziewcząt. Młodzież ogląda z zaciekawieniem kolorowe afisze. W Domu Kultury mieści się stałe kino wiejskie nr 7, które „gra” trzy razy w tygodniu: w piątki, soboty, niedziele. W pewnej chwili uwaga młodych radymnińskich kinomanów odrywa się od afiszy. — „Już idą!” — Iśnienie przez mostek nad rzeczkołą rozgrządzającą ogródki Radymna od pól uprawnych, maszeruje kolumna... Wojsko? Junacy? Nie. — „To Ośrodek Szkoleniowy Kadr Mechanizacji Rolniczej” — wyjaśnia mi jakiś młodzieniec ze znaczkiem ZMP w klapie marynarki. — „Onj tak co niedzielę — na pierwszy seans!”

Maszerują chłopcy osiemnastoletni i dwudziestokilkuletni młodzi mężczyźni. Wraz z nimi kilku wykładawców. Jest również kierownik Ośrodka ob. Zygmunt Męczyński. Zawieram z nim znajomość, a z chęcią niecodziennym widokiem razem ze słuchaczami Ośrodka wchodzi do kina.

Jest to placówka o zasięgu ogólnokrajowym. Istnieje od 1949 roku. Cztery razy do roku na okres czterech miesięcy przybywa do niej około czterystu młodych ludzi ze wsi, POM-ów, PGR-ów z całego kraju. Ośrodek szkoli i doszkala traktorzystów, kombajnerów, monterów maszyn rolniczych. Szkolenie zawodowe połączone jest z pracą społeczną. Ośrodek nie tylko zasila kadre mechanizacji rolnictwa, ale nadto kadre tę przygotowuje do zadań, jakie stoją dziś przed każdym światłym obywatelem naszego kraju.

W pracy społecznej Ośrodek w możliwie szerokim zakresie, dostępnym w warunkach prowincjonalnego miasteczka, korzysta z pomocy kinematografii. Siła oddziaływania filmu na wyobraźnię i umysł młodzieży wiejskiej, zawarta w poglądowości filmowej dydaktyki, ułatwia bardzo wyjaśnienie słuchaczom nie tylko trudnych problemów naszej rzeczywistości, ale również — niejednę sprawę obyczajowej lub pozornie mniej ważnych zagadnień z zakresu współżycia w kolektywie czy obcowania z ludźmi.

Oto przykład. Na film o atamanie Parchońcu — przyszli słuchacze Ośrodka już właściwie przygotowani. Kierownik kina, który jest zresztą pracownikiem Ośrodka, jako elektryk i hydraulik, zawsze informuje kierownictwo, jaki film będzie w następnym tygodniu wyświetlany. Jeden z nauczycieli przygotował się więc z wyprzedzeniem do wykładu o Rewolucji Październikowej, o wojnie domowej, by przed wykładem słuchaczy Ośrodka na pokaz filmowy wyjaśnić im to zdarzenie z jego historycznego filmu, wskazać jego kluczowe problemy, objaśnić rzeczywistą rolę osób działających. Nie jeden z tych opalonych, wesołych młodzieńców, nigdy przecież przed przybyciem do Radymna, nie był w kinie. W Ośrodku uczył ich jak mają patrzeć na filmy. Jest więc Ośrodek w Radymnie nie tylko szkołą nowego widza filmowego.

W czasie seansu — przerwy. Kino w Radymnie pracuje na aparacie wąskotaśmowym. Korzystają z przerwy między wyświetlaniem poszczególnych części słuchacze, by pytać nauczycieli, którzy chętnie wyjaśniają im trudne do samodzielnego rozwiązania „kwestie”. Pytania dotyczą zachowania się bohaterów filmu, ich obcyca z ludźmi, społecznością i... historią. Nie są to uwagi błahy. One to stanowią dowód tego „fermentu” przez jaki przechodzi umysł młodego wiejskiego widza w zelektryzowaniu ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza oplotkami jego rodzinnej wsi.

A kiedy seans się skończył „Ośrodek” wraca do siebie. I tu dopiero następuje druga część programu. W obszernej, dobrze zagospodarowanej świetlicy, gromadzą się widze w zelektryzowaniu ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza oplotkami jego rodzinnej wsi.

A kiedy seans się skończył „Ośrodek” wraca do siebie. I tu dopiero następuje druga część programu. W obszernej, dobrze zagospodarowanej świetlicy, gromadzą się widze w zelektryzowaniu ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza oplotkami jego rodzinnej wsi.

A kiedy seans się skończył „Ośrodek” wraca do siebie. I tu dopiero następuje druga część programu. W obszernej, dobrze zagospodarowanej świetlicy, gromadzą się widze w zelektryzowaniu ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza oplotkami jego rodzinnej wsi.

A kiedy seans się skończył „Ośrodek” wraca do siebie. I tu dopiero następuje druga część programu. W obszernej, dobrze zagospodarowanej świetlicy, gromadzą się widze w zelektryzowaniu ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza oplotkami jego rodzinnej wsi.

A kiedy seans się skończył „Ośrodek” wraca do siebie. I tu dopiero następuje druga część programu. W obszernej, dobrze zagospodarowanej świetlicy, gromadzą się widze w zelektryzowaniu ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza oplotkami jego rodzinnej wsi.

A kiedy seans się skończył „Ośrodek” wraca do siebie. I tu dopiero następuje druga część programu. W obszernej, dobrze zagospodarowanej świetlicy, gromadzą się widze w zelektryzowaniu ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza oplotkami jego rodzinnej wsi.

A kiedy seans się skończył „Ośrodek” wraca do siebie. I tu dopiero następuje druga część programu. W obszernej, dobrze zagospodarowanej świetlicy, gromadzą się widze w zelektryzowaniu ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza oplotkami jego rodzinnej wsi.

A kiedy seans się skończył „Ośrodek” wraca do siebie. I tu dopiero następuje druga część programu. W obszernej, dobrze zagospodarowanej świetlicy, gromadzą się widze w zelektryzowaniu ze sztuką filmową, odsłaniającą przed nim krajobraz życia ludzkiego poza oplotkami jego rodzinnej wsi.

dzi na salę kinową i wyświetlać film; że trzeba widza wiejskiego do odbioru pokazu nalezyce przygotować — i to nie tylko przez wręczenie drukowanego programu, które go on zazwyczaj nie ma czasu przeczytać przed seansem, ale przez umiejętnie skonstruowaną pogadankę.

Dyskusja w Ośrodku w Radymnie wskazuje na konieczność rozrocznienia opieki nad kinami wiejskimi przez organizację masową, które by takie pogadanki, a po pokazach — dyskusje, organizowały, aby w pełni wykorzystana była ideowo-wychowawcza rola sztuki filmowej, aby nie zatracał się istotny sens akcji uruchmiania wielkim nakładem kosztów sieci kin wiejskich. Dyskusja w Radymnie raz jeszcze uwiarydla mi doniosłość zagadnienia właściwego doboru repertuaru kin wiejskich, który, jak dotąd, planowany jest szablonowo, bez wniknięcia ze strony administracji naszej kinematografii w kulturalne i społeczne potrzeby wsi i bez rozpatrywania zainteresowań widza wiejskiego.

Ośrodek posiada własny aparat wąskotaśmowy. Często też dla potrzeb szkoleniowych wyświetlane są w świetlicy filmy popularno-oświatowe itp. Kierownictwo szkoły zwraca mi uwagę na niepomysłne zjawisko braku w programach kin wiejskich filmów tego typu, które właśnie powinny być przede wszystkim wyświetlane, gdyż wiedz przychodzi do kina nie tylko po przyjemność rozrywki, ale po naukę. Stosunek chłopów do kina jest taki sam, jak do książki. Chłop książki — żadnej — za rozrywkę nie uważa. Szuka w niej przeważnie wiedzy o życiu. Tego samego szuka w filmie. A tymczasem planujący w Warszawie programy dla kin wiejskich urzędnicy nic o tej właściwości widza wiejskiego nie wiedzą.

Ośrodek w Radymnie wobec małej ilości filmów popularno-oświatowych krajowej produkcji na tematy rolnicze za pośrednictwem Czechosłowackiego Biura Informacyjnego w Warszawie nawiązał kontakt z czechosłowacką kinematografią, która wypożyczyła mu już kilkakrotnie filmy instruktażowe rolnicze, a nawet rysunkowe bajki filmowe.

Jak z tego wynika — kierownictwo Ośrodka pracuje z rozmachem, wyznaczając filmowi poważną rolę w swej pracy. Pamiętać o tym powinni ludzie decydujący o sprawach upowszechniania filmów.

Do Radymna, jako do niezwykle interesującego terenu cennych spostrzeżeń, powinni zaglądać nie tylko dziennikarze i publicyści, ale również pracownicy kinematografii na szczeblu centralnym. Ich przecież też powinna obowiązywać akcja łączności miasta ze wsią.

Ludomir Rubach

JANUSZ SIECIARZ

Perspektywy trzeba zdobyć

WŚRÓD wielu listów młodych ZMP-owców z kół wiejskich, jeden szczególnie mnie zainteresował. Wydaje mi się, że została w nim pokazana — w obecny stan i możliwościach — perspektywa pracy młodzieży wiejskiej, jej entuzjazm i młodzieńczy zapał wszechstronnego rozwoju talentu i zainteresowań.

Alojzy Brzózowski, jak wielu kolegów z wszystkich wsi w Polsce, marzył o wyrwaniu się do pracy w wielkich ośrodkach przemysłowych, w wielkich miastach. Do organizacji ZMP wstąpił w swej wsi w 1951 r. Ale wtedy koło było mało aktywne, nie miał kto zająć się organizowaniem pracy. Brzózowski był pochłonięty pracą w szkole średniej gdzie bardzo dobrze się uczył, wiele pracował społecznie. W lipcu 1952 r. znalazł się, jako delegat, na Zlocie Młodych Przdowników w Warszawie. Ale wtedy o sprawy organizacji ZMP w Wąldzadzu nie zatroszczył się.

Niestety, szczególnie trudne warunki materialne i domowe w rodzinie Brzózowskich uniemożliwiły „ucieczkę” Alojzego do miasta. Gluchoniemi rodzice, 6-ro rodzeństwa, które wymaga jeszcze opieki — to wszystko zadczydowało, że naukę trzeba było przerwać i zająć się gospodarstwem.

Wielu rówieśników Alojzego taki przymusowy powrót na wieś do pluga zniechęciłby do wszelkiej pracy społecznej. Ale Brzózowski, to przodownik — ZMP-owiec; zapamiętał on dobrze sobie słowa przysięgi, złożone na ręce tuż. Bieruta w dn. 22 lipca 1952 r. „...Służęmy tobie ojczyzno... umacniać władzę robotników i chłopów, walczyć z ciemnotą, zacofaniem i przesadami...”

Toteż nie załamał rąk, nie żalił się na los, który nie pozwolił mu, jak innym, szukać awansu w mieście na „szerokim świecie”. Zainteresował się kołem ZMP, świetlicą, pracą wśród młodzieży i chłopów. Wziął na swe barki szereg poważnych funkcji. Jest do dziś przewodniczącym LZS-u, kierownikiem świetlicy, członkiem zarządu gminnego ZMP,

Pewna propaganda w świetle prawdy

LUDOWI TWÓRCY

O tym, że pracownicy wydziału kultury przy prezidium rad narodowych nie zawsze potrafia sprawować opiekę nad ludowymi artystami zgodnie z zaletami władzy ludowej, mówi historia ogólnopolskiego konkursu ogłoszonego przez Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej w Warszawie.

Zatrzymajmy swą uwagę na województwie lubelskim. — Po zjeździe warszawskim, kilku twórców ludowych z Lubelszczyzny przystąpiło do prac, opartych na współczesnej tematyce. Stwierdziliśmy to na wiosnę br. odwiedziwszy rzeźbiarza ludowego — Władysława Szkodzińskiego we wsi Liszna (gm. Stawiaty, pow. Biała Podlaska), garmarczycy z Urzędowa i Łąka Ordynackiego. Należało więc oczekiwać ze strony Wydziału Kultury Prezidium WRN w Lublinie większego niż do tego czasu zainteresowania się twórczością ludową, przez pomoc materiałową i fachową twórców. Tymczasem 31 października br. — a więc w dniu w którym upłynął termin składania ekspozycji

na konkurs, — w Wydziale Kultury Prezidium WRN w Lublinie znalazły się jedynie rzeźby ceramiczne Jerzego Wilka i Kaniewskiego z Urzędowa.

Czyżby inni twórcy ludowi nie zainteresowali się konkursem? Odpowiedź twierdząca krzywdziłaby artystów ludowych Lubelszczyzny. O konkursie bowiem nie wiedział jeszcze na wiosnę br. ani Władysław Szkodziński, ani garmarcze z Łąki, do września nie słyszeli o nim ani mistrz wycinanki lubelskiej, szedwiy Ignacy Dobrzyński, ani młoda tkaczka z Zagród Lubartowski — Anna Osiej (A przeciw wszystkim oni otrzymali nagrody na Warszawskiej Wystawie Lubelskiej Sztuki Ludowej w 1949 roku).

Główny organizator Zarząd Wojewódzki ZSCh w Lublinie, współorganizatorzy: Zarząd Woj. ZMP, Zarząd Wojewódzki TPPR, najspokojniej przemilczały sygnały Zarząd

Głównego ZSCh z Warszawy. To samo zrobił Wydział Kultury PWRN w Lublinie.

Oto jeden z najbardziej charakterystycznych przykładów: Ignacy Dobrzyński po otrzymaniu od przedstawicieli prasy informacji o konkursie — sam wrócił się we wrześniu by do Wydziału Kultury PWRN w Lublinie z prośbą o instrukcję, zgłaszając jednocześnie udział w wystawie sztuki ludowej na 10-lecie Polski Ludowej. Niedawno otrzymaliśmy od niego list z datą 31 października, informujący o braku odpowiedzi na jego zgłoszenia. Nie odnosiły również skutku interwencje telefoniczne w Wydziale Kultury PWRN w Lublinie w tejże sprawie, chociaż zawsze zapewniano, że wszystko będzie pomyślnie załatwione.

W rezultacie artysta ludowy tej miary, co Dobrzyński, nie wziętyby udziału w konkursie, gdyby nie Zarząd Główny ZSCh, który wystąpił do niego swego przedstawiciela i dostarczył papieru na wycinanki. Tylko dzięki temu prace Dobrzyńskiego znajdują się w Warszawie.

Warto zaznaczyć się z prowadzoną przez pracowników lubelskiego Wydziału Kultury PWRN „propaganda” konkursu.

22 grudnia 1952 r. otrzymali oni instrukcję Ministerstwa Kultury i Sztuki. Było więc dużo czasu na zgromadzenie adresów artystów ludowych, na dotarcie do nich, na zachęcanie do wzięcia udziału w konkursie. Tymczasem 17 stycznia 1953 r., czyli dopiero po 26 dniach(!) wysłane zostały pisma do referentów kulturalno-oświatowych przy prezidium PRN Czas upływał, a Powiatowe Rady Narodowe milczały.

7 lipca br. Wydział Kultury w Lublinie stwierdził, że do zamknięcia konkursu już niedaleko; po ośmiu więc miesiącach wystano... po naglenie. Odpowiedział na nie zaledwie referent z Włodawy, zgłaszając rysunki Antoniny Wielickiej i Zdzisława Czyży. Wielce strudzonej akcją propagandową referent z Radymna doniósł, że... jego wysiłki nie daly rezultatu, ponieważ nie udało mu się nikogo zwerbować do konkursu. Wiadomo nam jednak, że we wsi Jabłoń, pow. radzyńskiego żyje tkaczka Maria Niedzielska, a we wsi Niewęgłosz — Józefa Jabłońska — i że obie zdobyły nagrody na wystawie warszawskiej.

Referent z Włodawy nie nie napisał o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy

o tym, że w Parczewie ta Paulina Pataszuk i pracuje znany specjalista od siatek wiodawskich — garmarcz Józef Kopsi. Milczał również referent z powiatu chełmskiego, chociaż ma pod bokiem spółdzielnię w Paulowie a w niej — rzeźbę ludowych: Władysława Kopiciewicza, Jana Stuknińskiego i Antoniego Wanarskiego, nagradzanych na poprzednich wystawach w Lublinie. W Lubartowie zapomnieli o Annie Osiej; z powiatu lukowskiego nie zgłoszono ani jednej osoby, mimo że pracuje tam kilkunastu tkaczek, zgłaszających lukowskie tkaniny. Artysty z Łąki Ordynackiego: Sikora, Noworol, bracia Startkowiec, Żelazko i Kurzyna dziwili się, dowiedziawszy



się we wrześniu br., że konkurs ogłoszono już dawno, a nikt im o tym nie powiedział ani słowa.

Upłynęło znowu trzy miesiące, 6 października, — czyli prawie w przedmiu zamknięcia konkursu — Wydział Kultury zdobył się na drugie ponaglenie. Tym razem nie odpowiedział już żaden referat powiatowy.

Taka „działalność” przyniosła odpowiednie rezultaty: ekspozycje na konkurs dostarczyło jedynie dwóch garmarczyc z Urzędowa: Jerzy Wilek i Kaniewski. Garmarcze z Łąki Ordynackiego nie złożyły wystaw swoich prac, bo zabrali się do nich dopiero we wrześniu. Inni do końca nie wiedzieli o konkursie.

Czyżby do kilku wybitniejszych twórców ludowych z Lubelszczyzny nie mogli dotrzeć przedstawiciele Zarządu Wojewódzkiego ZSCh, TPPR, ZMP czy Wydziału Kultury PWRN? Cóż myślał, pozostający w bezstronnej drzemce główny organizator konkursu — Zarząd Wojewódzki ZSCh? Czyżby czekał na współorganizatorów?

Trudno o bardziej jaskrawy przykład bezduśności ze strony Zarządu Wojewódzkiego ZSCh i wszystkich wymienionych współorganizatorów. Dzięki takiemu „urzędowaniu” lubelski twórca ludowy, mimo że kocha swoją sztukę, nie mógł jej społeczeństwu

Wśród Korrespondencji

Zadanie jest wspólne!



rys. Bimali Horską

JAN HUSZCZA

Dostawca i mostek

PRZED usią Wesola Górka znajduje się spróchniały, pozabawiony kilku bierwin, mostek. Mostek ten nieraz już był punktem ożywionej dyskusji na posiedzeniach gminnej rady.

Domagano się, żeby go zreperować. Jednak dość wpływowy członek rady, obywatel Biegus, zawsze z dużym poświęceniem, nie szczędząc gardła, broniał mostka przed reperacją. Udawał, że są ważniejsze potrzeby, czyli, że mostek jeszcze i samych radnych przeżyje i że w ostatecznym wypadku niech się tym raczej zajmie odnośny sołtys.

Ten serdeczny, pełen głębokiego przywiązania, stosunek do dziurawego mostu, jak do jakiegoś historycznego zabytku w Warszawie czy w Gdańsku, tłumaczy chyba fakt, iż radny Biegus jest jednocześnie dostawcą sklepów gminnej Samopomocy. Mostek usprawiedliwia wiele przykrych wypadków, jakie zdarzają się dostawcy w czasie pełnienia odpowiedzialnych obowiązków.

Ot, uległa stłuczeniu pewna ilość butelek z wodką (ciekawe, że tłukły się te największe, litrowe!)... Podpisywano akt, że to z powodu ustrząsu na fatalnym moście: podskoczył, obywatelu, wóz i zlamala się oś!

Kiedy indziej śnięte karpie, wieszane na święta w beczce z powiatu, uciekły do wody pod mostek, gdzie podobno ożyły i po dziś dzień szczęśliwie się rozmnażają, choć żadnemu z upartych wędkarzy nie udało się ani jednego wyciągnąć na haczyku...

A wszystko przez ten nieszczęsny mostek i przez rzekomo niechlujne opokowanie i nieszczelne korkowanie.

Ostatnio jednak — mimo protestu Biegusa — zabrano się zupełnie poważnie do reperacji mostu. Już zatwierdzono kosztorys i wysłano zamówienie na bierwinona.

W związku z tym, jak słychać, radny Biegus chce ustąpić z zajmowanego stanowiska, ponieważ obowiązki dostawcy stracimy dla niego — jak to szeroko tłumaczy — urok romantycznej przygody, pełnej niespodzianek dla... gminnej Samopomocy!

Jeśli naprawdę chce ustąpić, to należy na to się zgodzić.

Jeżeli są to tylko pogłoski, to należy spowodować, aby stały się rzeczywistością.

Głowa

CO poniedziałek, a czasem nawet i częściej — przeżwanie po jakimś święcie — narzekal peegerowski koniuch, Wiśniewski, na ból głowy:

— Aż dudni, psiam! Jakby bronka kto po niej jeździł...

Współczująca żona pochylała się nad nim i radziła:

— Poszedłbyś do doktora... Niech cię obejrzy...

— Oglądał przecie! Oglądał, proszki zapisał, a pomocy żadnej... Co tu doktor, kiedy taka spieka...

Ale w przedostatni poniedziałek nie było słońca, od rana po niebie widać było ciężkie chmury, spadło nawet kilka kropel deszczu, a mimo to — głowa bolała...

Do stajni przysła żona:

— Boli?

— Oj, boli! Jakby kto w trzy bronki i z siewnikiem po niej jeździł...

— A ja ci radzę, żebyś znowu poszedł do doktora...

Lekarz był niedaleko. Z Gajowców do miasteczka były niecałe dwa kilometry. Przeklinając głowę, powoli szedł Wiśniewski do lekarza.

— Co nowego?... Znowu z głową? — zapytał doktor w białym kitlu, poznając niemal od razu swego niedawnego pacjenta. I zabrał się do szczegółowych oględzin. Pytał, badał, opukiwał, zastanawiał się... Wreszcie, jakby sobie coś przypominając, niespodzianie zapytał:

— A nie piliście przypadkiem wczoraj wódki?

— Jakże to?! Pilem! Przecie była niedziela. To najpierw przyszedł Jadwisiań, zaraz potem był Szymanek... Jakże, niedziela przecie!

— To chyba teraz wiecie, od czego boli głowa... — powiedział lekarz. — I żadne proszki tu nie pomogą...

Wiśniewski nie odważał się, tylko markotnie podrapał się w tę swoją utrapioną głowę. Dopiero, gdy wychodził, mrknął:

— A ja ciągiem myślałem, że to ci spieka...

W najbliższym poniedziałek już Wiśniewskiego głowa nie bolała, choć dzień był słoneczny, a od spiekoty czuło nowe mielizny na stawie wystąpiły.

Jan Huszcza

Powiat Brzozowski ma 7 gmin i 2 miasteczka. W konkursie czytelnicy otrzymali limit 2100 uczestników. Mnie z tej liczby przeznaczono 500, przydzielając siedem dużych, dość odległych od siebie gromad.

W pierwszej chwili mało miałem nadziei, by organizacje społeczne włączyły się do konkursu. Liczyłem jedynie na nauczycielstwo.

Komisja gminna konkursu składa się właściwie z dwóch osób: przewodniczącego gminnej rady narodowej i mnie.

Po rozesłaniu zaproszeń, na zebranie przybyli tylko kierownik szkoły podstawowej i prezes gminnego zarządu Samopomocy Chłopskiej. Poza nimi nikt; nie zgłosił się nawet kierownik świetlicy gminnej. Miejscowy komendant SP wypytywał się wprawdzie kto zgłosił się do konkursu, nie mam jednak danych, by on sam jakieś grono czytelników zorganizował. Koło ZMP nie zareagowało na nasze wezwanie. Również pozostałe organizacje społeczne.

Najbardziej dziwi mnie w tej akcji stanowisko ZNP. Miejscowi nauczyciele nie zostali zachęceni do pracy nad organizacją konkursu ani przez inspektorat szkolny, ani przez „Głos Nauczycielski”. Instruktor gminny oświaty dla dorosłych nie odwiedził w tym celu ani jednej szkoły i nie rozesłał nawet pism do kierowników.

Razem z przewodniczącym GRN podzieliłmy limit naszej gminy na poszczególne gromady, wysyłając równocześnie, pisma zachęcające do bibliotekarzy punktowych i kierowników szkół. Wspólnie z bibliotekarką powiatową odwiedziliśmy wszystkie punkty biblioteczne i szkoły w gminie Domaradz (pow. Brzozów). Z jakim skutkiem?

Gromada Domaradz ma obecnie 260 konkursistów. Cała gmina 600. Plan wykonałmy z nadwyżką.

Franciszek Goszta bibliotekarz gminny

Zobowiązania przedzjazdowe gromady Dziemionna

W les polska przed II Zjazdem PZPR podejmujemy masowo zobowiązania podniesienia wydajności z ha, zwiększenia hodowli, uruchomienia rezerwy produkcyjnych. Aktywni świetlicy podejmują się szerzej rozwinąć pracę kulturalną i artystyczną w świetlicach. Mieczynicy (np. z Biegonie) chcą przed Zjazdem rozpoznać ruch mierzynowski na całym powiat.

Idea Zjazdu stała się potężnym motorem rozwoju świadomości i inicjatyw mas pracujących chłopów. Świadczą o tym listy o zobowiązaniach. Przeczytajmy uważnie jeden z wielu, mówiących o potrzebach terenu i inicjatywie aktywów.

Pisze nasz korespondent Stanisław Fasula z gminy Złotniki Kujawskie o zobowiązaniach gromady Dziemionna. Chłopi z tej gromady, dając uczczenia II Zjazdu PZPR zobowiązali się wykonać plan zboża w 100 proc. bez zamienników, do 15 grudnia wykonać plan obowiązkowych dostaw w żywie, mleku i ziemiakach w 100 proc. — I w tymże terminie uregulować podatek w 100 proc.

To jedna strona zobowiązań gromady Dziemionna gwarantująca pełne wykonanie wszystkich obowiązków obywatelskich. Gromada wykazuje w tym swe zrozumienie i poparcie dla polityki rządu i partii, dla uchwał IX Plenum. Jest to zobowiązanie tym ważniejsze, że cała gmina dotąd pozostawała w tyle ze skupem w powiecie inowrocławskim.

Drużyna świadczy o gospodarskiej inicjatywie, konkretności i przystosowaniu do potrzeb terenowych planów wydobycia rezerwy produkcyjnych gospodarstw indywidualnych. Chłopi gromady Dziemionna, mając na uwadze podniesienie na wyższy poziom gospodarki rolnej i energię i działalność wprawdzie burliwą, ale i szkodliwą.

One to sprawiły, że bracia Zalescy — Witold i Stanisław, Bujanowscy — Kazimierz i Jan, Markowski — Adam i Gabriel, Kurapatwa Tadeusz, czy Kaczmarek Ignacy, są dziś na ustach całej okolicy.

Warto by zapytać przy pomocy jakich sposobów uzyskali młodzi ludzie wiedzę, od których aż się trzęsie zmięciem burzającym gmina Kikół. Przy pomocy kuchennych, podwózkowych i przydrożnych. Jakże bowiem nawzajem inaczej niż skradziony matce, stary orczyk i ostry kamień?

Wolęćscy chłopcy wstawili się przede wszystkim jako śpiewacy. Pół litra wódki „na lepek” i można zaczynać serenade pod oknami. Każdy występ był zazwyczaj urozmaicony szeregiem takich atrakcji jak wybijanie szyb, czy rzucanie kamieniami za spóźnionym przedchodnim. Czasem wprowadzano współzawodnictwo. Kto dłużej i bardziej zawile śpiewał, ten wygrał. Rej wodził najczęście Zaleski Witold.

Do najbardziej udanych imprez należy stanowczo wizyta członków koła u wdowcy Heleny Brodowicz, której syn pracuje w spółdzielni produkcyjnej. Dzielnym chórzystom nie udało się wprawdzie pobić wódki, choć mieli szczerą chętkę, no, ale ostatecznie polamali plot, wybili szyby i nadwyrzyli mocno drzwi.

Byłoby to w wielkim pożytku dla całej okolicy, gdyby dokonali jakiegoś podsumowania działalności chuligańców z Wolęcina. I ktoż ich powinien ocenić, jeżeli nie Powiatowy Zarząd ZMP w Lipnie, pod którego szczytnie zamkniętym okiem dzieją się takie cuda?

JERZY SMUTNY (Na podstawie listu mieszkańca grom. Kikół. Nazwisko znane Redakcji).

Kilka z... Kilkowa

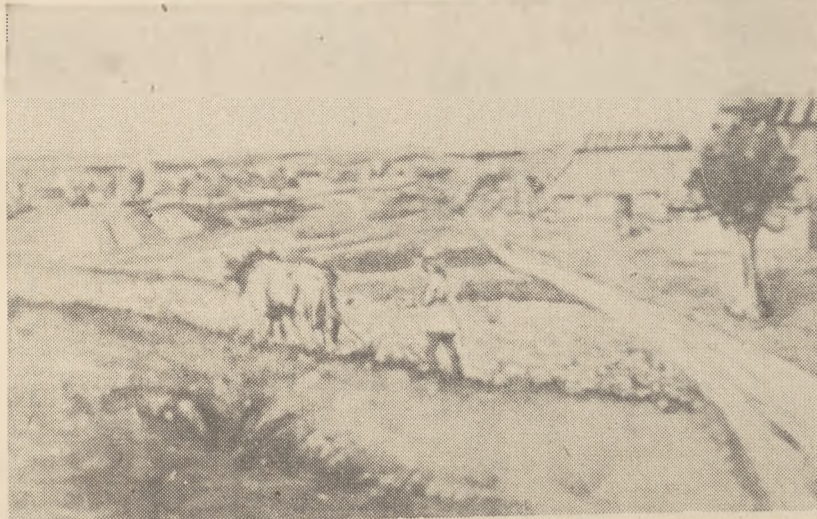
Bywa czasem tak, że nazwa gromady świetnie oddaje istotę stosunków, jakie w niej panują. Weźmy dla przykładu Kilków, leżący pod Zaganiem w woj. Zielona Góra.

Zazwyczaj tam sławy wzorowego, ofiarnego chłopcy, niejaki Stanisław Senyka. Jeden z tych, co to pierwszy kontraktują i odstawiają. Jest on — jak mówią gminne papiery — małorolnym na 3,5 ha. Albo grubym średniakiem na 10,7 ha, jak powiadają chłopi.

Komu wierzyć? Gdyby np. zapytać ob. Michała Kliszczaka z Prezydium GRN, będzie się na Boga kłął, że Stanisław jest wprawdzie biedny jak mysz kościelna, ale za to chodząca krynica ofiarności. Te zakłęcia wydają się nieco podejrzane, jeżeli przejrzyć akta stanu cywilnego. Okazuje się bowiem, że Kliszczak — to szwagier Senyki. Szwagier odesłał nas zapewne do sołtysa Kilkowa, żeby poświadczył ową małorolność Senyki. I tutaj akta stanu cywilnego wykazała niewątpliwie powinowactwo z Kliszczakiem. Ale sołtys z całą powagą powoła się na pomiary gruntów, jakich dokonano niedawno w Kilkowie. Kiedy zaś poprosimy o nazwisko delegata gromady przy omiarach, wzmieni imię Senyki. Zaden to krewny sołtysa, tyle może tylko, że jest rodzonym synem Stanisława, o którym było na początku.

A Ignacy to poeta, prawdziwy poeta! Trzymał niby taśmę w ręku, ale gwizdał

RYŚUNKI TWÓRCÓW LUDOWYCH



Zacofana gospodarka w ustroju kapitalistycznym. Rysunek akwarelą Popławskiego Mikołaja, 16-letniego syna małorolnego chłopca z grom. Kofły, pow. Bielsk Podlaski.



Z cyklu: Budujemy socjalizm. — Rysunek wykonał Jan Jurusik.



Pierwsze zboże dla państwa. Rysował Gaworzyński Franciszek ze wsi Rzeczyca, pow. Rawa Mazowiecka. Foto A. Musiał

HORACY SAFRIN

Fraszki

Nagrobek spekulanta wiejskiego

Kulak, gdy na punkt skupu odstawił swe żyto, stropił się, że moc plachu wśród złaren wykryto. „Nie wierzyta mi, ludzie? — wołał — Panie Chryste! Dyć to jasne jak słonko: pole mam piaszczyste...”

Kulak na punkcie skupu

Tu spoczywa spekulant. Gdyby z nagła ożył, pod tą płytą grobową ukryby wnet zboże.

Gazetka gminna

Pod zamkniętym okiem zarządu ..

W Wołęcinie, gm. Kikół, pow. Lipno, powstała stosunkowo niedawno koło ZMP. Fakt niewątpliwie radosny. Tym bardziej, że jak dotąd młodzież wykazywała wiele ruchliwości, energii, a działalnością swoją wybiegła daleko poza rodzinną gromadę. Niestety, była to energia i działalność wprawdzie burliwa, ale i szkodliwa.

One to sprawiły, że bracia Zalescy — Witold i Stanisław, Bujanowscy — Kazimierz i Jan, Markowski — Adam i Gabriel, Kurapatwa Tadeusz, czy Kaczmarek Ignacy, są dziś na ustach całej okolicy.

Warto by zapytać przy pomocy jakich sposobów uzyskali młodzi ludzie wiedzę, od których aż się trzęsie zmięciem burzającym gmina Kikół. Przy pomocy kuchennych, podwózkowych i przydrożnych. Jakże bowiem nawzajem inaczej niż skradziony matce, stary orczyk i ostry kamień?

Wolęćscy chłopcy wstawili się przede wszystkim jako śpiewacy. Pół litra wódki „na lepek” i można zaczynać serenade pod oknami. Każdy występ był zazwyczaj urozmaicony szeregiem takich atrakcji jak wybijanie szyb, czy rzucanie kamieniami za spóźnionym przedchodnim. Czasem wprowadzano współzawodnictwo. Kto dłużej i bardziej zawile śpiewał, ten wygrał. Rej wodził najczęście Zaleski Witold.

Do najbardziej udanych imprez należy stanowczo wizyta członków koła u wdowcy Heleny Brodowicz, której syn pracuje w spółdzielni produkcyjnej. Dzielnym chórzystom nie udało się wprawdzie pobić wódki, choć mieli szczerą chętkę, no, ale ostatecznie polamali plot, wybili szyby i nadwyrzyli mocno drzwi.

Byłoby to w wielkim pożytku dla całej okolicy, gdyby dokonali jakiegoś podsumowania działalności chuligańców z Wolęcina. I ktoż ich powinien ocenić, jeżeli nie Powiatowy Zarząd ZMP w Lipnie, pod którego szczytnie zamkniętym okiem dzieją się takie cuda?

JERZY SMUTNY (Na podstawie listu mieszkańca grom. Kikół. Nazwisko znane Redakcji).

„Aktywista” — Wójcikiewicz

W roku 1951 pobit prezesa gromadzkiego Kola ZSCh ob. Chmieleckiego Ignacego. Procesował się następnie dzielnie w odwołaniach Sądzie Grodzkim. A kiedy groziło mu coś trzy lata przymusowego odroczenia za pobieżność — przeprosił czule prezesa. Nie mógł się bowiem ani na chwilę oderwać od działalności społecznej. Taki już był.

Ubiegłego roku także nie próżnował. Pobit solidnie ob. Stryjaka Ignacego, odpowiedzialnego za pracę GOM-owskiej młodarni. Poszło o drobny, Stryjak domagał się zapłaty za przemienienie sterty żyta.

A tego roku podjął próbę rozpedzenia całego gromadzkiego zebrania. Także nie bez przyczyny. Chłopi, głównie samo-



pomocowcy, chcieli wyrazić swoje oburzenie z powodu „Byskawicy”, którą zredagował „aktywista” podkreślając przede wszystkim swoje zasługi i zasługując jęszcze kilku dobrych znajomych. Dziergie nazwał kulakiem, Chmieleckiego opisał jako wroga klasowego, „reakcyjny” uważał, że go gromada darzy szacunkiem.

Nie brak mu tedy — jak sam widzielić — rozmaitej roboty. Pracowity żywot wiedzcie ob. Zygmunt Wójcikiewicz. A wiecież, że go gromada darzy szacunkiem. Nie brak mu tedy — jak sam widzielić — rozmaitej roboty. Pracowity żywot wiedzcie ob. Zygmunt Wójcikiewicz. A wiecież, że go gromada darzy szacunkiem. Nie brak mu tedy — jak sam widzielić — rozmaitej roboty. Pracowity żywot wiedzcie ob. Zygmunt Wójcikiewicz. A wiecież, że go gromada darzy szacunkiem.

Warto chyba w tej sytuacji dodać, że zebranie gromadzkie odbyło się jednak. Co więcej — zapadła uchwała, aby Wójcikiewicza uwolnić od nawału pracy. Nie ciekawica uwolnić od nawału pracy. Nie ciekawica uwolnić od nawału pracy. Nie ciekawica uwolnić od nawału pracy.

Warto chyba w tej sytuacji dodać, że zebranie gromadzkie odbyło się jednak. Co więcej — zapadła uchwała, aby Wójcikiewicza uwolnić od nawału pracy. Nie ciekawica uwolnić od nawału pracy. Nie ciekawica uwolnić od nawału pracy.

Warto chyba w tej sytuacji dodać, że zebranie gromadzkie odbyło się jednak. Co więcej — zapadła uchwała, aby Wójcikiewicza uwolnić od nawału pracy. Nie ciekawica uwolnić od nawału pracy. Nie ciekawica uwolnić od nawału pracy.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL Redaguje Komitet Adres administracji: Warszawa, ul. Wileńska nr 12, tel. 8-00-81. Adres redakcji: Warszawa, pl. Starożytności nr 7. Telefon: Red. Naczel. 8937-86. Redakcji 870-61, wewnętrzny 13, 42, 70. mias. — 4,80 zł kwartalnie — 13,80 zł półrocznie — 27,60 zł rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. RSW „PRASA”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. 4-B-22458